Nr 12 Grudzień 1949

ECHO
DOMU MACIERZYSTEGO
CÓREK MIŁOSIERDZIA
ŚW. WINCENTEGO á PAULO

NAKŁADEM SIÓSTR MIŁOSIERDZIA w POLSCE

TREŚĆ

Za zezwoleniem Władzy Duchownej.

D. Z. G. D. w Sandomierzu. L. 1-10004. Nr zam. 6. 13. II. 50 r. Nakł. 400.

ECHO DOMU MACIERZYSTEGO

Grudzień 1949 r.

SŁOWO OD PRZEŁOŻONYCH
(Najczcig. Ojca Dyrektora)

DUCH NADPRZYRODZONY I TOWARZYSZKI

MIŁOŚĆ

Miłość względem towarzyszek jest drugim obowiązkiem, jaki nakłada na nas duch nadprzyrodzony na równi z szacunkiem, o którym mówiliśmy poprzednio.

Powody do dobrego praktykowania miłości względem towarzyszek:

— *cenne korzyści, jakich staje się źródłem,*

— *wielkie niewłaściwości, jakie wynikają z jej zaniedbania.*

Cenne korzyści, jakich staje się źródłem.

A najprzód, miłość jest źródłem szczęścia.

Sięgnijcie, moje najmilsze Siostry do waszego małego doświadczenia osobistego. Powiedzcie mi, jak wytłumaczyć szczęście, zalewające dusze wasze w pierwszych miesiącach powołania? Zapewne, była w tym radość, że po przejściu może wielkich burz, niejednego niebezpieczeństwa, znalazłyście się wreszcie u portu od dawna upragnionego; z pewnością także znaczna część waszego szczęścia stąd pochodziła, że znalazłyście się w atmosferze pobożności, skupienia, złączenia z Bogiem, do czego wzdychałyście może przez długie lata. Ale przyczyną waszego szczęścia była przede wszystkim dobroć, serdeczność, słodycz, uprzejmość, poświęcenie, jednym słowem miłość, jaką uczułyście się otoczone przy wejściu do wielkiej rodziny św. Wincentego.

A odkąd jesteście umieszczone w domu, jeżeli, jak tego życzę i chcę się spodziewać, znalazłyście zawsze tę samą szczerą serdeczność, tę samą dobroć, tę samą delikatność

i uprzejmość, tę samą miłość, która stanowiła urok waszego życia w Seminarium, nieprawdaż, że mimo pewnych przykrości, pewnych doświadczeń, pewnych cierpień tu i ówdzie spotykanych, nie przestałyście nigdy w głębi serca czuć się prawdziwie szczęśliwymi i dziękowałyście Bogu, że wprowadził was do Zgromadzenia, gdzie panuje prawdziwie duch rodzinny, gdzie stosownie do wyraźnej woli Św. Założyciela, Siostry prawdziwie kochają się wzajemnie?

Gdyż miłość, kiedy jest dobrze zrozumiana i wspaniałomyślnie praktykowana, jest dla życia w Zgromadzeniu tym, czym słońce dla natury: oświeca, ogrzewa, rozwija, wzmacnia, rozwesela i czyni szczęśliwymi! Dzięki miłości, jarzmo Reguł św., nie tylko nie ciąży, ale staje się miłym; cnota, wyrzeczenie, poświęcenie, stają się dużo łatwiejsze; powołanie wydaje się piękniejsze, bardziej pociągające, bardziej zniewalające, bardziej pocieszające; towarzyszki stają się sympatyczniejsze, bo w każdej czuje się i uznaje współpracownicę szczęścia, którego się doznaje. Jednym słowem, sprawdza się w całej pełni to słowo Ksiąg Świętych: „Quam bonum et quam jucundum habitare fratres in unum" — „Jakże miło i jak przyjemnie czuć się prawdziwie w rodzinie!" Tę myśl św. Wincenty wypowiadał w tych słowach: Serdeczność i miłość uczyni z waszych domów małe raje na ziemi!" Doświadczenie nie przestaje stwierdzać tej prawdy; w rzeczy samej, gdzie miłość dobrze jest praktykowana, wszystkie towarzyszki czują się prawdziwie szczęśliwe; wszystkie odczuwają wielki szacunek i głęboką miłość dla powołania, są wspaniałomyślne w zachowaniu św. Reguł i w praktyce cnót powołania, u wszystkich widać wielką jedność między sobą, spoistość i doskonałe porozumienia w prowadzeniu dzieł; to też dzieła są kwitnące, owocne i Bóg im błogosławi. Można powiedzieć, że wprost dotykalnie czuje się tam Boga: *„Ubi caritas et amor, ibi Deus est!" (Gdzie miłość, tam jest Bóg).*

Miłość jest także źródłem pociechy.

W Zgromadzeniu, tak jak i wszędzie, odczuwa się niekiedy potrzebę pociechy, bo i tam, jak gdzieindziej napotyka się przykrości, cierpienia, sposobność do bolesnych ofiar. Co więcej, każda towarzyszka jest cały dzień zajęta czy wewnątrz

domu, czy na zewnątrz, poświęca się, troszczy, męczy, niekiedy wśród wielu przykrości, utrapień, kłopotów, trudności różnego rodzaju, a czasem nawet bez żadnego widocznego pomyślnego skutku. To też jeżeli towarzyszki żyją w dobrym porozumieniu między sobą i z Siostrą Służebną, kiedy innymi słowy, miłość prawdziwie panuje w domu, jakiż to odpoczynek, jakie wzmocnienie, jaka pociecha, w południe i wieczorem, w godzinie rekreacji, odnaleźć się wszystkie razem, odetchnąć swobodnie dobrą atmosferą „domu", móc się odprężyć w spokoju, pod miłym urokiem „życia prawdziwie rodzinnego"! Jakże te miłe chwile prędko rozwiały wszystkie przykre wrażenia dnia, pozwoliły duszy powrócić do równowagi, umocniły ją w miłości powołania i dały nowy zapał, jeszcze wspaniałomyślniejszy, by nazajutrz iść odważnie na wszelkie troski, jakieby ją spotkać mogły!

Miłość jest jeszcze źródłem siły.

Źródłem siły przeciw naszym własnym wadom.

Jakże potężną pomocą jest miłość towarzyszek dla poprawienia się z naszych wad!

Rzeczywiście, jeżeli towarzyszki są pełne miłości, jeżeli, rozumiejąc, że nasze wady, zanim dla nich staną się przykrym ciężarem, są nim przykrzejszym i cięższym dla nas samych, zatem potrafią wspaniałomyślnie znosić ten ciężar nie narzekając zbytnio, nie stękając, nie robiąc nam ciągłych wymówek, nie korzystając z każdej sposobności, żeby nam dać odczuć, ile przez nas mają do cierpienia; a bardziej jeszcze, jeżeli szczerze pragnąc naszego dobra i naszego udoskonalenia umieją łagodnie, uprzejmie, po siostrzańsku dać nam poznać nasze uchybienia, zachęcając do poprawienia się, wskazując sposoby do tego, dając nam własnym postępowaniem przykład cnót, jakich nam brakuje, by przez to pociągnąć nas do lepszego postępowania, jeśli zwłaszcza umieją prosić Boga, by raczył udzielić nam łaski, do urzeczywistnienia pięknych zamiarów, jakie On ma nad nami, łatwo zrozumieć jak cenną pomocą jest miłość wzajemna w pracy nad poprawieniem swego charakteru.

Gdy tymczasem, brak miłości, przeciwnie sprawia, że wady ciężą coraz bardziej, coraz boleśniej na tym, który im

podlega, doprowadza go do zniechęcenia, do rozgoryczenia, sądzi, że jest nieznośny wszystkim, że niepodobna mu się poprawić, popada zatem coraz częściej w swoje błędy i poprawa staje się tej duszy rzeczywiście coraz trudniejsza, coraz bardziej zagłębia się ona, może na całe życie, w swej nędzy, z której trochę więcej miłości, mogłoby ją wyprowadzić, a nawet po trochu zupełnie od niej uwolnić.

Miłość jest także źródłem siły przeciw pokusom trafić się mogącym.

Wiemy to, aż nadto dobrze, że powołanie nie chroni nas od pokus.

Pokusa tęsknoty za rodziną, którą się opuściło, za serdeczną miłością, jaką się w niej było otoczoną, za wygodami i ułatwieniami życia, jakich używałyśmy; pokusa pożądania szczęścia światowego, jakie się zdaje dopatrywać u swoich rodzonych sióstr lub u jakiej przyjaciółki z lat dziecinnych, pozostałych na świecie; pokusa szukania pociech zbyt naturalnych, zbyt ludzkich, zaczepienia swego serca u tego czy owego stworzenia; pokusa zniechęcenia w trudnościach, w doświadczeniach zdrowia czy innych, w przykrościach napotykanych w domu lub urzędzie; pokusy niekiedy bardziej osobiste, delikatniejsze, boleśniejsze, niebezpieczniejsze.

Wtedy także, jakąż siłą, jaką podporą, jaką ochroną jest miłość wzajemna!

Dusza kuszona, czując się otoczona ciepłem dobroci, uprzejmości i miłości serdecznej, prędko zobaczy, jak rozpraszają się szkaradne chmury pokusy; wspaniałomyślna, bo szczęśliwa, prędko zdoła wzlecieć ku górze, ponad grożące jej niebezpieczeństwa. Dzięki serdeczności, jaką znajduje w swym domu, serce jej trwale zacementowane gorącą miłością powołania, które jej daje tyle szczęścia, prędko odepchnie wszelkie przeciwne powaby, które chciałyby ją pociągnąć.

Przeciwnie zaś, jeśli na nieszczęście Miłość nie panuje w domu, jakież wielkie niebezpieczeństwo grozi duszy Córki Miłosierdzia w godzinie burzy, w godzinie pokusy! Jakże straszne niebezpieczeństwo, gdy nie widzi koło siebie oparcia, siły, na którą przecież miała prawo liczyć, a która w tej chwili potrzebniejsza by jej była niż kiedykolwiek, czuje tylko ciężar

jarzma powołania, a nie odczuwa jego słodyczy i sądzi, że gdzieindziej znajdzie szczęście, które powołanie jej odmówiło. W jakże wielkim jest niebezpieczeństwie, że zbyt łatwo zostanie zwyciężona i zaciągnięta do przepaści!

Miłość jest wreszcie źródłem zbudowania.

Och! jakież zbudowanie promieniuje dokoła siebie dusza żyjąca w Zgromadzeniu i prawdziwie pełna miłości!

Dusza czuwająca nad sobą, aby nigdy nic złego o nikim nie powiedzieć, a zwłaszcza o tym najpierwszym bliźnim, którego kochać powinna więcej niż każdego innego, o „swoich towarzyszkach", „swoich siostrach"; dusza, która o bliźnich, zwłaszcza o towarzyszkach mówi tylko dobrze, podkreślając ich zalety i cnoty. Dusza wypatrująca zawsze okazję do oddania komu usługi, sprawienia przyjemności, do poświęcenia się dla innych, zawsze gotowa dopomóc towarzyszce będącej w potrzebie, o ile tylko może to uczynić bez szkody dla swoich obowiązków. Dusza zawsze grzeczna, serdeczna, uprzejma, która zbliżając się do kogokolwiek, zawsze ma twarz rozjaśnioną miłym uśmiechem. Ach! jakież zbudowanie ta dusza rozsiewa dokoła siebie, najczęściej nie zdając sobie nawet sprawy z tego. Milcząco, ale wymownie zaprasza wszystkich, którzy na nią patrzą, do wstępowania w jej ślady, do stawania się lepszymi, przez coraz doskonalsze praktykowanie Miłości!... To też jakim skarbem jest dla Zgromadzenia i dla domu, który ją posiada! Prawdziwie spełnia się na niej słowo św. Pawła: „Bonus odor Christi", „dobra woń Jezusa Chrystusa"! Kto ją spotyka, odnosi wrażenie, jakby widział odblask Jezusa pełnego dobroci, prawdziwie „Jego" duchem oddycha się przy niej, gdyż ona prawdziwie „Jego" promieniuje. A gdy się ją opuści, to jak gdyby się pozostawało przy naczyniu otwartym, a zawierającym wonności, jest się jakby upojonym ożywczą wonią Jezusa Chrystusa!

Dusza zaś nie mająca miłości, dusza mówiąca łatwo na prawo i na lewo o wszystkich, a zwłaszcza może o swoich towarzyszkach; dusza, która umie dopatrzyć i podkreślić w swoich towarzyszkach ich drobne nędze, ich braki, ich uchybienia, ich niedociągnięcia jakiekolwiek; dusza, która uchyla się od każdej sposobności oddania innym usługi, nie

tylko sama się nie ofiarując, ale odmawiając kategorycznie, jeśli od niej żądają; dusza zwykle, a przynajmniej zbyt często chmurna, smutna, zadąsana, nerwowa, niecierpliwa; dusza nie robiąca sobie skrupułu, że towarzyszkom swoim sprawi przykrość, że je podrażni, zrobi na przekór, obmówi, że powie im słowa raniące lub w przykry sposób się z nimi obejdzie; dusza do której nie śmieją się zbliżyć i lękają się nie bez racji mieć z nią do czynienia; jakimże zgorszeniem jest taka dusza dla wszystkich będących świadkami takiego postępowania. Jakim zgorszeniem jest dla towarzyszek, zmuszonych stwierdzić przepaść istniejącą między jej postępowaniem a tym, co tak często i tak usilnie zalecał św. Założyciel. Jakie zgorszenie dla postulantek, jeśli są w domu, przyciągnięte do Zgromadzenia pięknym imieniem „Miłosierdzia", jakie nosi, a tak zawiedzione, widząc, że rzeczywistość nie odpowiada ich oczekiwaniu. Jakie zgorszenie dla domowników, świadków uchybień przeciwnych miłości i z tego powodu tracących powoli swój dawny, wysoki szacunek dla kornetu. Jakie zgorszenie dla ludzi świeckich z zewnątrz, powiadomionych o tym, co się dzieje w domu, czy to przez pracowników, czy też przez jaką zbyt gadatliwą towarzyszkę, a ta wiadomość przechodzić będzie z ust do ust po całej dzielnicy, po całej wiosce czy miasteczku głosząc: „że nie ma porozumienia między Siostrami, że się kłócą, że nie kochają się między sobą!"

Przypatrzywszy się korzyściom Miłości wiernie praktykowanej, trzeba zobaczyć smutne skutki wynikające z jej braku. To będzie przedmiotem „słowa" następnego.

Paweł Castelin, Dyrektor

W prowincji Rzeczypospolitej Argentyńskiej

„Dzieło św. Wincentego może ustalić się na tych samych podstawach, w tych samych warunkach, we wszystkich krajach, we wszystkich narodach i we wszystkich klimatach".

[Ks. Etienne do pierwszych Sióstr udających się do Argentyny].

W ostatnim Echu opowiedzieliśmy, jak przykre doświadczenie spotkało Siostry nasze z Urugwaju, gdy Najprzew.

Matka, zamiast gościć tam całą dobę, jak to było przewidziane w planie, zajechała wieczorem i zaraz musiała ruszyć w dalszą drogę. A Siostry tak się cieszyły na Jej pobyt i kilka domów już od dawna z radością przygotowywało się na Jej przyjęcie.

Dnia 8 października znajdujemy już Najprzew. Matkę w stolicy Argentyny, w Buenos-Ayres. Na wstępie miło nam będzie poznać trochę lepiej te śliczne okolice, gdzie miłosierdzie córek św. Wincentego wypisało piękne karty, stosownie do zlecenia danego im przez N. Ojca Etienne na ich wyjezdnym z Francji:

Pan Jezus was posyła, podobnie jak Ojciec Niebieski posłał Jego samego, bądźcie całkowicie Jemu oddane, jak On oddany był całkowicie Swemu Ojcu i niech wola Boża i chwała Boża będą jedynym przedmiotem waszego umiłowania".

BUENOS-AYRES

Pewien złośliwy Misjonarz — jak się czasami trafiają — pisząc do swych korespondentów w Europie, zaklinał ich, żeby porządnie adresowali listy: „Otrzymuję listy od was z niesłychanym opóźnieniem, pisał on, ale też pozwalacie sobie wiele fantazji w waszych wiadomościach geograficznych. Np. adresujecie: Buenos-Ayres, Brazylia..., Chili..., Buenos-Ayres, Peru; niedługo może napiszecie: Buenos-Ayres na Księżycu..., dlaczego by nie?" Możemy wyrozumieć Europejczyków z przed stu lat, gdy Buenos - Ayres było jeszcze niewielką mieściną, ale dziś błąd podobny byłby nie do darowania, gdy chodzi o miasto liczące dwa i pół miliona mieszkańców, stolicę Państwa 5 razy większego od Francji.

Buenos - Ayres jest wielkim punktem stycznym Starego i Nowego Świata... wielkie targowisko, wielki port wywozowy, zajmuje ogromną przestrzeń, posiada drapacze chmur i ogromne ulice wysadzane palmami i drzewami granatowymi. (Aleja Rivadovia ciągnie się 28 km) Jest miastem naukowym, także miastem zbytku, ale bardziej jeszcze jest miastem chrześcijańskiej cywilizacji i wizerunek Niepokalanej Dziewicy góruje nad nim od 1938 roku, kiedy to Księża Misjonarze wznieśli kościół Najśw. Panny od Cudownego Medala w parafii powierzonej ich duchownemu kierownictwu...

Dla Sióstr Miłosierdzia, Buenos-Ayres jest sercem Prowincji Argentyńskiej, która obejmuje domy trzech Państw: Urugwaju, Argentyny i Paragwaju! Liczy 42 domy z 420 Sio-

strami. Z początku Siostry zależały od Wizytatorki brazylijskiej, ale w 1861 roku utworzona została Prowincja niezależna, a pierwszą Wizytatorką została S. Berdoulat, która w 7 lat później umarła, jako ofiara miłosierdzia. Ugruntowana na ofierze, Prowincja miała wzrastać i owocować, jak to Najprzew. Matka z radością mogła stwierdzić.

Blisko 100 lat mija, gdy 9 lipca 1859 roku, pierwsze misjonarki wsiadły na żaglowiec, by podążyć do Buenos-Ayres. Jak Apostołów, było ich 12. Po 54-ch dniach przeprawy dobiły do celu w samą uroczystość Podwyższenia św. Krzyża i wysłuchały Mszy św. na stałym lądzie... Przyjęto ich śpiewem Te Deum, zainstalowanie odbyło się bez przeszkody, tylko przy tej sposobności zaznaczyła się ich wierność Regułom św.:

„Po powitaniach i zwykłych w takiej okoliczności ceremoniach, Panowie Administratorzy zapytali S. Berdoulat, o jakiej godzinie przyjmują zwykle wieczorny posiłek; wobec odpowiedzi, że zawsze o 6-ej, kazali podać kolację. Pewien czcigodny kapłan, bardzo oddany dziełom miłosierdzia, sam jeden pozostał, żeby się dowiedzieć, czy im czego nie brakuje, ale dyskretnie usunął się do małego pokoiku sąsiadującego z refektarzem, podczas gdy Siostry spożywały kolację. Niektóre z Sióstr zapytały S. Służebną, czy w dzień przybycia, nie byłoby stosowne zaprosić do refektarza tego czcigodnego członka administracji, żeby nie siedział sam osobno. „Nie, moje Siostry, odrzekła S. Berdoulat, co będziemy robiły na początku, to pozostanie. To się sprzeciwia Regułom, bądźmy nieugięte. Nie zapominajmy, że jesteśmy tutaj najpierwsze!"

Powierzony im szpital liczył około 350 chorych i 150 obłąkanych, co przedstawiało niemało pracy, ale najtrudniejszą sprawą było zaprowadzenie tam porządku i usunięcie istniejących nadużyć. Gdy Przełożona, opierając się na zawartej umowie zabrała się do tego zadania, wszyscy przeciwko niej powstali. Siostry cierpliwie znosiły pogardę i wszystkie przykrości; co więcej, na wszelkie wyczyny obliczone, żeby je podrażnić, odpowiadały podwojeniem poświęcenia i dobroci... Taki stan rzeczy trwał kilka miesięcy i Przełożeni Wyżsi, uwiadomieni o tym, zdecydowali ich odwołanie, gdy powoli zaczęła następować zmiana: chorzy ujęci zostali ich troskliwo-

ścią, pracownicy wzruszeni pokorą i cierpliwością, a nawet najbardziej uprzedzeni uznać musieli ich wpływ zbawienny. Jedna jeszcze okoliczność przyczyniła się do pozyskania im ogólnej sympatii: wybuchła wojna między Państwami należącymi do Konfederacji Argentyńskiej. Siostry wezwane zostały do ambulansów, a bohaterskie ich zachowanie wzbudziło podziw. Administracja poprosiła Przełożonych o przysłanie jeszcze 8 Sióstr i odtąd Zakłady mnożyć się zaczęły jedne po drugich...

W roku 1862 z Domu Macierzystego przybyła do Argentyny trzecia grupa, złożona z 8 Sióstr. S. Berdoulat przeniosła się z nimi do domu, który odtąd miał służyć za Dom Centralny i gdzie miano utworzyć dzieła młodzieży: szkoły, sierociniec itp... Ale był to tylko dom najęty, który wkrótce okazał się zbyt szczupły... Aspirantki zaczęły napływać i przewidywano, że niedługo trzeba będzie otworzyć Seminarium. Powierzono tę sprawę św. Józefowi! Ten dobry Święty pobudził wspaniałomyślną dobrodziejkę, która ofiarowała obszerny teren: 12 grudnia 1863 r. położono pierwszy kamień pod budowę Domu Centralnego.

W roku 1868 wybuchła cholera. Siostry z wielkim poświęceniem niosły pomoc cholerycznym. Kilka przypłaciło to życiem, a między innymi zacna ich Wizytatorka, S. Berdoulat.

Nowe Zakłady mnożą się ciągle. Niepodobna wszystkich opisywać. Trudno nawet opowiadać o wszystkich przyjęciach, jakie z wielkim duchem wiary przygotowane były dla Najprzewielebniejszej Matki. Wszędzie najprzód odśpiewano Magnificat, potem były przemówienia powitalne, posiedzenia z jakimś popisem czy przedstawieniem, różnica była w formie, ale wszędzie jednakowy duch szacunku i wszędzie owoc pracy dokonanej przez prawdziwe Córki Miłosierdzia.

Niedziela 9 października. — Siostry udały się do portu, żeby tam przywitać Najprzew. Matkę przybywającą statkiem z Montewideo o godz. 7.30 rano. Udała się prosto do Domu Centralnego na Mszę św. i tam przedstawiła Bogu swje gorące pragnienie, by wszystkie Siostry w Argentynie były świętymi.

Potem wizyta *Domu Centralnego*, gdzie dzieła są kwitnące. Siostry Służebne zebrane na mające się rozpocząć rekolekcje, pierwsze witają Najprzew. Matkę, a kilka z nich

towarzyszą Jej przy zwiedzaniu obszernego Zakładu: internat na 60 dzieci stałych, sale dla 400 przychodnich, ambulans, apteka, bursa i td. Nadto są tu dzieła zewnętrzne: odwiedzanie ubogich po mieszkaniach, katechizacja dzieci, które nie przychodzą do szkoły... W Seminarium jest 25 kornecików, zupełnie podobnych do tych z Domu Macierzystego w Paryżu.

O godz. 3-ej Najprzew. Matka udaje się do *Kolegium Św. Wincentego*, utrzymywanego przez liczną grupę Pań Miłosierdzia. Tutaj także piękna młodzież, 350 uczennic. Po drodze Matka Nasza zatrzymała się w jednym z ogrodów publicznych, który niegdyś był cmentarzem; pozostawiono tam jeden pomnik, na którym ze wzruszeniem odczytuje nazwiska Sióstr i Misjonarzy, ofiar cholery w 1868 roku.

Z Kolegium św. Wincentego udała się Najprzew. Matka do *Nova Pompeja*, centrum dzieł społecznych w bardzo ruchliwej dzielnicy: żłobek na 60 maleństw, przedszkola na 300 dzieci. Dziesięć aspirantek pomaga naszym Siostrom w dobrym utrzymaniu Zakładu i wprawiają się tym sposobem do swych przyszłych obowiązków. Orkiestra malutkich przy wyjściu jest miłą niespodzianką.

A oto *„Flores"*, dom chorych Sióstr. Czcigodne Siostry Dawne pięknie dygają, a radość jaśnieje na wszystkich twarzach. Matka Nasza kocha je szczególniejszą miłością, mówi im, jak bardzo liczy na ich modlitwy i cierpienia ofiarowane w intencji całego Zgromadzenia.

Z kolei Stowarzyszone św. Ludwiki przedstawiają Najprzewielebniejszej Matce swoje babcie i nawet jednego dziadka: wszyscy otrzymują małą pamiątkę. Ale trzeba się spieszyć, bo uroczyste Błogosławieństwo odbędzie się w kościele Cudownego Medala: lekarze pracujący z Siostrami w Szpitalu Alvear chcieli się podjąć muzyki i bardzo pięknie im się powiodło. Po nabożeństwie Najprzew. Matka zwiedza szczegółowo tę świątynię. Księża Misjonarze mogą zaświadczyć jak często są świadkami cudów łaski dokonanych przez naszą Niepokalaną Matkę!

Poniedziałek 10 października.—W programie odwiedziny 11 Domów.

Po Mszy św. specjalna wizyta w Seminarium, gdzie Najprzew. Matka daje każdej Seminarzystce obrazek św. Lu-

dwiki z poleceniem, by doskonałość swoją oparły na zjednoczeniu z wolą Bożą przez posłuszeństwo cale przeniknięte miłością.

Potem Najprz. Matka wprost błyskawicznie przechodzi wszystkie domy.

W *Ognisku del Pino* 125 dzieci stałych. Opatrzność utrzymuje to dzieło, a jest najlepszą u Administracji, bo niczego dzieciom nie brakuje.

Szpital Rawson na 1500 chorych. Trzebaby dobrych kilka godzin na zwiedzenie tego pięknego Zakładu. Cały świat chorych, ale przede wszystkiem cały świat dusz do poprowadzenia ku Bogu, jak to podkreśla Najprz. Matka i nalega, by Siostry tutaj, bardziej niż gdziekolwiek przykładały się do świętości. „To potrzebne jest i konieczne, zapewnia, byście mogły spełniać wasze posłannictwo nadprzyrodzonego miłosierdzia".

Znów na przemian Domy Miłosierdzia i wielkie szpitale.

Panie Miłosierdzia założyły 5 schronisk dla biednych dzieci, zwane dziś *„Ogniskami macierzyńskimi"*. Kierownictwo ich powierzone jest naszym Siostrom a uczęszcza do nich tysiące dzieci. Najprz. Matka wszędzie mile jest tam przyjmowana przez gromady małych dzieciaczków, dzieci szkolnych i starszych dziewczynek.

Inną cechę ma *Kolegium Niepokalanego Poczęcia*, gdzie młodzież prowadzona jest bardzo nowocześnie, ale w dobrym duchu. Tam wobec 800 Dzieci Marii Jego Ekscelencja Nuncjusz Apostolski odprawił uroczystą Mszę św., poczem Matka Nasza zwiedziła Kolegium z jego 650 uczennicami.

Szpital Narodowy z Klinikami Fakultetu Medycznego liczy 500 chorych. Siostry pracują tam z wielkim poświęceniem, tak samo jak w *Przytułku Recoleta*, który jest jedną z pierwszych placówek naszych Sióstr w tej Prowincji. Jakaż różnica między tym, czym był, a czym jest obecnie! Powierzony był Siostrom w 1850 r.: istniał od 10-ciu lat a zagnieździły się tam były najstraszniejsze nieporządki. Jednakże starcy ucieszyli się z przybycia Sióstr, z wyjątkiem kilku niepoprawnych. Było ich 90. Umieszczeni byli w celkach, zajmowanych niegdyś przez zakonników tego opustoszałego kla-

sztoru. Każdy ze staruszków prowadził sobie swoją kuchnię, po posileniu się jednak pierwej we wspólnym refektarzu. Ich izdebki wydawały się niezdobytymi twierdzami. Słyszano ich jak mówili: „Teraz zapewne, będziemy mieli lepszą opiekę, ale trzeba będzie prosto chodzić, bo Siostry wszystko wypatrzą! Nie uda się wymykanie ani przemycanie buteleczek!” Cierpliwość ich opiekunek powoli zwyciężyła ich złe nawyknienia. Z czasem zbudowano nowe gmachy i obecnie, zamiast 90-ciu, znajduje tu pomieszczenie 600 mężczyzn i 400 kobiet w tym schronisku, który możnaby nazwać „Pokój wieczorny”, taki tu panuje pokój i porządek.

Nieco dalej stamtąd jest *Szpital Alvear*, mieszczący 1500 chorych. Wzniesiono tam wspaniały łuk tryumfalny, a przed wejściem położono dywan z kwiatów, po których Najprz. Matka ma przejść najpierwsza! Dokoła Niej ciśnie się cały tłum: personel administracyjny, lekarze, pracownicy, pielęgniarki itp... Chorzy chodzący zebrali się również, aby wszystko zobaczyć.

Potem jeszcze dwa szpitale i o zmroku powrót do Domu Centralnego.

Wtorek 11 października. — Ten dzień poświęcony jest wizycie w Lużan. Jest to miasto odległe 75 km od Buenos-Ayres, ale auto prędko przebiegnie tę przestrzeń po pięknych, równolinijnych drogach Argentyny. Najprz. Matka nie jedzie tam sama, bo za nią podąża 10 ogromnych autobusów napełnionych dziećmi. Lużan jest miejscem pielgrzymek, sławnym w całej południowej Ameryce, to też Siostry wybrały ten dzień, by w cudownej świątyni Marii Niepokalanej, młodzież ze wszystkich kolegiów zostających pod ich opieką, poświęciła się Matce Najświętszej w obecności Tej, która nam Ją tu na ziemi zastępuje.

Historię tego cudownego miejsca, w jakich okolicznościach Matka Najśw. je sobie obrała, podajemy według opisu jednego z Księży Misjonarzy z 1876 r.

Było to w 1630 r., za panowania Filipa IV, króla Hiszpanii i Portugalii. Pewien Portugalczyk, bolejąc nad tym, że nie mógł bywać na Mszy św. tak, jakby tego był pragnął, postanowił zbudować na swoich ziemiach kaplicę na cześć Najśw. Panny. W tym celu, poprosił swego przyjaciela, by mu przysłał z Brazylii figurę Niepokalanej. Przyjaciel przysłał mu dwie

figury starannie zapakowane w dwóch osobnych skrzyniach. Szczęśliwie dojechały morzem do portu w Buenos-Ayres, tam załadowano je na wóz ciągniony przez dwa woły, by zawieźć na miejsce przeznaczenia. Droga była jeszcze daleka, więc woźnica zajechał na noc do jakiegoś dużego majątku. Ale nazajutrz rano niepodobna było zmusić woły do ruszenia w dalszą drogę. Żadne krzyki ani bicie nie pomagały, woły stały w miejscu, jakby w ziemię wrośnięte. Zaczęto szukać przyczyny tego i zauważono, że woły ruszyły, gdy zdjęto z wozu jedną skrzynię. Otwarto ją i ujrzano śliczną figurę Niepokalanej, wysoką na 50 cm., z rękami złożonymi na piersiach i podtrzymywaną przez grupę aniołów. Zrozumiano, że Maria chce być w tym miejscu czczona i taki jest początek nabożeństwa do Najśw. Panny z Lużan. W tej miejscowości zbudowano na razie kaplicę: zakrystianem zostało dziecko murzyńskie, bardzo pobożne, które do śmierci zostało tu wiernym stróżem. Potem piękny kościół zastąpił ubogą kapliczkę, a napływ pielgrzymów nie ustaje.

Świątynia ta powierzona została Misjonarzom św. Wincentego w 1871 r., na życzenie Administratora diecezji. Siostry przybyły później, mają tu teraz kolegium i szpital. Obecna bazylika jest owocem usilnych starań głównie dwóch Misjonarzy, którzy pragnęli wznieść arcydzieło dla uczczenia Marii Niepokalanej. Najprz. Matka zajechała najpierw do szpitala, a gdy weszła do Bazyliki, ujrzała przed sobą jakby śnieżne klomby: wszystkie dzieci w białych sukienkach, wyglądały jak kwiaty rozkwitłe ku czci Jezusa i Jego Najświętszej Matki. Ks. Dyrektor Prowincji odprawił Mszę św. podczas której dzieci śpiewały. Te dwa tysiące czystych głosików niewątpliwie podobały się Najśw. Pannie.

Po nabożeństwie Najprz. Matka udała się najprzód do Księży Misjonarzy, którzy nie żałowali swego trudu dla przyozdobienia świątyni, a potem zatrzymała się chwilę w Muzeum Najśw. Panny, gdzie złożone są wszelkiego rodzaju ex-vota, niektóre bardzo ciekawe. Jest tam dużo nie tylko serduszek, rąk, nóg, głów, ale są także... koniki, krówki, baranki. Gdy jakiemu koloniście zginie z trzody jakie bydlę na olbrzymich pampasach, z prostotą obiecuje Najśw. Pannie, że jeśli się znajdzie, to ofiaruje takie srebrne zwierzątko do ozdoby Jej ołtarza... Podobnie emigranci włoscy, których jest tu dużo, lubią ofiarować Madonnie złote lub srebrne kłosy zboża lub kukurydzy, jako pierwociny swych zbiorów. Stamtąd Najprz. Matka udała się do dzieci na posiedzenie rozrywkowe, na którym bardzo ją ubawiły typowe tańce tamtej okolicy.

W Kolegium lużańskim zastała Najprz. Matka piękne grono Sióstr. Korzysta z tego, by im zalecić jednostajność, jako środek zachowania Zgromadzenia i wzrastania w duchu św. Wincentego. Zaczęła potem opowiadać wiadomości ze Zgromadzenia, gdy przyszedł Ks. Dyrektor Prowincji, by zabrać Ją do *Escobar*, gdzie urabia się młodzież misjonarska. Dom ten położony jest wśród głuchej wsi. Jedzie się tam prawie dwie godziny autem. Mile tam zeszły chwile popołudnia, a wyjeżdżając, Matka nasza obiecuje powiedzieć Najprzew. Ojcu, jakby Jego synowie z Argentyny szczęśliwymi się czuli, gdyby Go mogli zobaczyć u siebie.

W powrotnej drodze do Buenos-Ayres dwa krótkie przystanki: w *Przytułku św. Ludwika* w mieście San Fernando i u Św. Izydora (Przytułek i Szpital) już na przedmieściu stolicy. Wszędzie Najprz. Matka rozsiewa szczęście i radość, dając się niezmordowanie wszystkim. Ledwie o godz. 8-ej dojechałyśmy do Domu Centralnego.

W PARAGWAJU

Środa 12 października. — O godz. 8 rano Najprz. Matka wyrusza do Paragwaju. Samolotem za 3 i pół godziny stanie w stolicy tego kraju trochę mniejszego od Francji. Jest on jakby wciśnięty między sąsiednie państwa: olbrzymią Brazylię, Rzeczpospolitą Argentyńską i Boliwię.

Ciekawa jest historia tego ludu Guarani, który go zamieszkuje. Uciekając przed morderczymi napastnikami, Indianie tego plemienia schronili się do pustyni, jaką był ich obecny kraj. Gdy ścigający ich napastnicy mieli ich już dosięgnąć, wdali się w tę sprawę jezuiccy misjonarze i wyjednali u królów hiszpańskich, że to terytorium będzie schroniskiem pokoju. Nazwane zostało „Ziemią misyjną", ale wkrótce nazwa ta zmieniona została na nazwę przepływającej tam dużej rzeki, dopływu Parany. Cały kraj liczy około miliona mieszkańców: chociaż katolicy, zostali jednak „Guarani" i tworzą odosobnione Państwo, jak by jaka oaza, nie ulegająca cywilizacji hiszpańskiej, panującej w całej Ameryce południowej.

Czemu jednak do Asuncjon, stolicy Paragwaju, puszczać się wodnopłatowcem, kiedy to jest kraj otoczony lądami i nie mający żadnego przystępu do morza? Oto Paragwaj posiada wspaniałe lotnisko rzeczne, które pozwala na odbycie takiej podróży w najlepszych warunkach i ten ptak pływający pozwala przebyć w ciągu paru godzin przestrzeń, na przebycie której sposobem dawnej żeglugi, trzebaby poświęcić cały tydzień. Wprawdzie przez to traci się wspaniałe widoki, nie można podziwiać wielobarwnych ptaków, wszelkiego rodzaju kwiatów, rzadkich, aromatycznych drzew i innych cudów natury.

Oto jesteśmy w *Asuncjon!* Są tu 3 domy Sióstr Miłosierdzia. Siostry Służebne oczekiwały Najprz. Matkę w chwili Jej przybycia. Następnie autem Ministra Francji pojechała do *Kolegium Opatrzności*, gdzie odbyły się zwykłe ceremonie powitalne, z wielką prostotą, bo to jest charakterystyczna cecha tego poczciwego kraju. Popołudniu przyszedł na parę minut Ksiądz Biskup, który nazajutrz ma celebrować w katedrze Mszę św. w intencji Najprz. Matki.

Czwartek 13 października. — Po uroczystej Mszy św. Ks. Biskup wyraził swoją radość i swoją dumę, że jest uczniem dzieci św. Wincentego i że Misjonarze nie przestają tutaj bardzo owocnie pracować nad urobieniem młodzieży duchownej. Pan Minister Francji oddał podobnie dobre świadectwo Siostrom, chwaląc ich pracę i miłosierdzie. Po tych dwóch przyjęciach Najprz. Matka udała się do Szpitala, zwiedziła wszystkie pawilony, a nawet przybudówkę, gdzie otwarto małą szkołę. Na obiad powróciła do Kolegium Opatrzności i oto coś niespodziewanego: S. Służebna oznajmiła Jej, że dziś audycja Radia jest Jej poświęcona i tą drogą Paragwaj składa Jej życzenia powitalne.

Popołudniu najprzód wizyta w Nuncjaturze, gdzie Matka Nasza zastała wielkiego przyjaciela Zgromadzenia, którego znała poprzednio w Brazylii. Następnie udała się do Seminarium diecezjalnego, gdzie z radością stwierdza gorliwą pracę kierujących nim Misjonarzy. Zakończenie będzie w Przytułku starców, założonym w 1898 r. Znajdują tam schronienie nie tylko starcy, ale wszelka nędza, której gorycz złagodzona być może dobrocią. Dziś w szczególności wszystkie twarze jaśnieją radością... Po małym posiedzeniu rozrywkowym trzeba spieszyć do Kolegium, bo jest już bardzo późno!

Z całą prawdą można powiedzieć, że Siostry Miłosierdzia urobiły tutaj rodziny chrześcijańskie, nawet dzieci to mówią, że bez nich byłyby pogankami z pewnym tylko polorem chrześcijańskim... Tutaj, jak prawie wszędzie w tych krajach, Siostry nasze z początku same jedne zajmowały się dziełami młodzieży, a jeżeli teraz inne zakonnice zajmują się także młodzieżą paragwajską, to przeważnie Siostry nasze wskazały im najlepsze sposoby szerzenia królestwa Bożego wśród tego poczciwego ludu.

Piątek 14 października. — *Znowu w Buenos-Ayres.*

Wielki ptak pływający przenosi nas z powrotem ponad wodami Paragwaju i Parany. Po drodze widzimy z daleka duże miasta, jedno z nich to Korient, gdzie są nasze Siostry, ale niepodobna się zatrzymać. Matka Nasza posyła tam tylko swego Anioła, by zaniósł Siostrom pozdrowienie. Dojeżdżamy do Buenos-Ayres wśród mgły i deszczu! Jakież przeciwieństwo z dusznym upałem kraju, który dopiero co opuściłyśmy.

Pogoda nie zachęca do wizyt, ale Najprz. Matka krótką chwilę poświęca domowi Guillmez, gdzie Siostry wyczerpane lub chore przybywają nabrać sił, potem wstąpiła jeszcze do do Kolegium Pereyra i spieszy do Domu Centralnego na ostatnie zebranie.

Sobota 15 października. — Pożegnanie! Odjazd na lotnisko oddalone od centrum miasta o 40 km, ale wprzód na Mszy św. Siostry śpiewają tę, tak odpowiednią modlitwę: „Boże mój, spraw zjednoczenie umysłów w prawdzie i zjednoczenie serc w miłości!" To zjednoczenie wszystkich członków wielkiej rodziny, jest wrażeniem pozostającym z pobytu w każdej ze składających ją Prowincji i to wrażenie Najprz. Matka zawiezie ze sobą do Domu Macierzystego.

W CHILI

„Po kilku godzinach lotu nad suchymi i nieurodzajnymi stepami pampasów, ukazały się pierwsze pogórza Andów, wyschłe i kamieniste. Następnie wysokie śnieżne szczyty. Samolot zdawał się wysilać na wzniesienie się wyżej, aby przebyć ten olbrzymi mur. Każdemu z pasażerów dano rurkę doprowadzającą tlen w razie, gdyby z powodu wielkiej wysokości odczuwali trudność w oddychaniu. Myśmy jednak nie czuły tej potrzeby, tylko podziwiałyśmy przepyszne lodowce otaczające nas na prawo i na lewo.

„Kordyliery Andów są wspaniałe, pisze Najprz. Matka. Śnieg lśni w słońcu na szczytach, które rysują się majestatycznie na czystym lazurze nieba. „Panie, uczyniłeś dziwy bez liczby", a to wszystko dla zachwycenia i podniesienia serc naszych.

„Z godzinę mogłyśmy podziwiać te widoki, a potem góry nagle się kończą i stromym zboczem przechodzą w pła-

szczyznę jednolitą, jak dywan, porysowaną tylko pracą rąk ludzkich. W parę minut potem ukazuje się Santiago i jego lotnisko, na którym dostrzegamy liczne kornety, co budzi sympatię naszych współtowarzyszy podróży, będących już świadkami pożegnania w Buenos-Ayres.

* * *

Protokuł Rady podając założenie Prowincji Chilijskiej opowiada, że 18 listopada 1853 roku, dwóch kapłanów i jeden brat ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy, a przeszło 30 Sióstr Miłosierdzia z S. Joanną Briquet, Wizytatorką na czele, wsiedli w Bordeaux na okręt jadący do Chili, a 14 marca 1854 roku dojechali do portu Walparezo, gdzie zatrzymali się 12 dni. Następnie wyruszyli do Santiago, gdzie mieli założyć Dom Centralny Misjonarzy, Dom Centralny Sióstr Miłosierdzia i objąć opiekę nad Szpitalem Św. Franciszka Borgiasza mieszczącym 270 chorych kobiet, Szpitalem cywilnym i wojskowym św. Jana Bożego na 500 chorych mężczyzn, a także zająć się Domem Dzieci podrzuconych.

Małe ziarenko gorczyczne wrzucone w ziemię przed stu laty wzrosło... Prowincja liczy obecnie 35 domów z 276 Siostrami, w tym państwie ciągnącym się wązkim pasem nad brzegiem oceanu, a którego ludność nie dosięga liczby ludności Paryża.

Zostawiliśmy Najprz. Matkę na dojezdnym do *Santiago.* Siostra Marcillac opowiada nam przebieg wizytacji...

„Andy otaczają Santiago dokoła. Gdziekolwiek spojrzeć, widać szczyty pokryte śniegiem! Na jednym z tych szczytów wznosi się piękna figura Najśw. Dziewicy, otaczająca swą macierzyńską opieką cały ten gród św. Jakuba z jego 700.000 mieszkańców. (Santiago znaczy miasto św. Jakuba).

Na przybyciu do *Domu Centralnego* auto obsypane jest deszczem wonnych płatków rzucanych przez uczennice Kolegium, Idziemy do pięknie odnowionej kaplicy. Ś. p. Siostra Boitet, przygotowała ją jakby specjalnie na tę uroczystość, chociaż z nieba tylko może się z nią łączyć. Ks. Wizytator wszedł na ambonę, by powitać Najprz. Matkę w imieniu całej Prowincji, Sióstr, chorych, dzieci, ubogich. Potem, jak wszędzie, przyjmowanie Sióstr, odwiedziny w Seminarium, gdzie

Matka nasza zostawia jako hasło słowa św. Ludwiki: „Trzeba mieć wielkie serce, które nic nie uważa za zbyt trudne dla świętej Miłości Bożej...”

O godz. 4.30, Jego Eminencja Kardynał Caro przyjął Najprz. Matkę z prawdziwie ojcowską dobrocią. Potem wizyta u Nuncjusza apostolskiego.

O godz. 5.30, przybyłyśmy do *Domu Centralnego Księży Misjonarzy*, gdzie kaplica św. Wincentego wspaniale jest przybrana, jak w największe święta.

Wiele Sióstr bierze udział w tym zebraniu rodzinnym. Ks. Godoy wyraża swoją radość, że widzi Najprz. Matkę w Santiago i pragnie, by była poprzedniczką Najprz. Ojca, którego chcieliby tak bardzo przyjmować w uroczystość stuletniej rocznicy założenia Prowincji w 1954 roku.

16 października. — Dzieci Marii i Stowarzyszone św. Ludwiki de Marillac zapełniły kaplicę na Mszy św. o godz. 8-ej, a potem zebrały się na dużym podwórzu kolegium, gdzie każde Stowarzyszenie z osobna przedstawione jest Najprz. Matce, zanim złączą swe głosy w śpiewie pełnym entuzjazmu. Najprz. Matka winszuje Dzieciom Marii ich gorliwości i zachęca do wstępowania coraz pilniej w ślady swej Niepokalanej Matki, zwłaszcza przez praktykowanie miłosierdzia zapisując się coraz liczniej do Stowarzyszenia św. Ludwiki.

Następnie Najprz. Matka zwiedza *Szpital Św. Józefa*, gdzie 500 gruźlików znajduje serdeczną opiekę i atmosferę rodzinną. Wszyscy zebrali się przy grocie Najśw. Panny z Lourdes, by powitać Matkę Naszą i otrzymać obrazki i medaliki.

Stąd udałyśmy się do *Wielkiego Szpitala Św. Wincentego*, na 1500 chorych; po obiedzie grupa sanitariuszy wykonała bardzo zabawne tańce chilijskie.

W Domu Osiemnastego, który długo był Domem Centralnym, Najprz. Matka zatrzymuje się przed piękną figurą Najśw. Panny Strażniczki, wzniesionej na podziękowanie za ocalenie w czasie trzęsienia ziemi w 1939 roku. Dzieci popisywały się wykonując piękne ćwiczenia gimnastyczne.

W Izbie Zgromadzenia Matka nasza sprawia radość Siostrom Dawnym, dając im dowody swej macierzyńskiej serdeczności.

Następuje przyjęcie w *Kolegium Św. Rodziny*, gdzie milutkie druhny ofiarowały Najprz. Matce pudełko napełnione gałązkami niezapominajek, żeby zawsze pamiętała o tej hożej młodzieży, która Ją dziś otacza czcią najserdeczniejszą.

W Domu Św. Fidelisa krótka jest wizyta z powodu późnej godziny, ale wychowujący się tam chłopcy miłe robią wrażenie.

Nawiedzenie Najśw. Sakramentu, wystawionego w sąsiednim Kościele Adoracji nieustającej jest zakończeniem tego miłego dnia.

17 października. — Valparioso. Santiago.

Koło godz. 7-ej Najprz. Matka wyrusza autem do Valparioso. Droga prześliczna. Najprzód przebywamy góry, ale potem ukazują się urodzajne doliny, a wreszcie wspaniały widok na miasto, rozłożone amfiteatralnie nad lazurową zatoką.

Pierwsza wizyta jest do Jego Eksc. Ks. Biskupa.

W Szpitalu Van Buren przyjęcie było bardzo uroczyste, ale uroczyściej jeszcze i wspanialej przyjmowana jest Najprz. Matka w *Szpitalu Św. Augustyna.* Cały personel ustawiony był na obszernym podwórzu, a chorzy na otaczających je werandach. Dyrektor Szpitala wygłosił powitanie po francusku, Konsul francuski był tam obecny, a gdy otwarto drzwi kaplicy, ukazał się J. Eksc. Ks. Biskup w mitrze i z pastorałem w ręce, podał Najprz. Matce wodę święconą i obecny był na uroczystym odśpiewaniu Magnificat. Kaplica została odnowiona specjalnie na tę uroczystość, na samorzutną prośbę pielęgniarek szpitala.

Potem specjalna audiencja u Prezydenta Rzeczypospolitej, w jego rezydencji. Pan Prezydent wraz ze swoją żoną, bardzo serdecznie przyjęli Najprz. Matkę.

Dopiero na godzinę pierwszą powróciłyśmy do Szpitala św. Augustyna na obiad w gronie rodzinnym i wesołe Benedicamus.

W Kolegium Karmelu powitała Matkę Naszą jedna z Dzieci Marii, wyrażając swoją radość, że poprzedniego roku mogła brać udział w Kongresie w Paryżu. Skoro tylko Matka Nasza weszła do tego domu, zabrzmiały dzwony z parafialnej dzwonnicy, zaczęli zbierać się ubodzy wspomagani przez Siostry, staruszkowie z Przytułku Limache, Panie Miłosierdzia, które

ofiarowały Najprz. Matce piękny wazon miedziany, dzieci zaś prosiły, by Matka dzieciom Francji zawiozła od nich pozdrowienie. Do gromadzącego się tłumu przyłączyli się i żołnierze z sąsiednich koszar.

Przed nocą powrót do Santiago z krótkim przystankiem w Szpitalu *Vina del Mar*.

18 października. — „Zacny Kardynał Caro, pisze Najprz. Matka przyszedł łaskawie odprawić Mszę św., uczestniczyć w uroczystości dzieci, a nadto wraz z Nuncjuszem obecny też był na ceremonii innego rodzaju!” Tą ceremonią było wręczenie Najprz. Matce orderu przyznającego Jej tytuł Oficera Zasługi „Bernardo O'Higgins”. Jest to jeden z najwyższych orderów chilijskich. Władze rządowe chciały w Jej osobie wyrazić wdzięczność za dobro, jakie od stu lat blisko czynią w tym kraju setki Córek Miłosierdzia poświęcając się ratowaniu wszelkiej nędzy.

Na wzruszającej tej ceremonii obecnymi byli nie tylko przedstawiciele Kościoła, ale Ministrowie Spraw zagranicznych, Zdrowia, Pracy, żona Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, członkowie władzy sprawiedliwości, Dyrektorzy wszystkich szpitali, Ciało medyczne itd... „W imię Boże rozpoczynamy posiedzenie”, powiedział minister Zdrowia...

Pomiędzy przemowami, jedna była po francusku, był to penegiryk ku czci naszej Czcigodnej Matki Inchelin, przez doktora, który znał ją w Paryżu... „Zgromadzenie wszędzie znane jest i kochane, pisze Najprz. Matka: niechże wszystko służy ku chwale Ojca Niebieskiego i dla rozszerzenia ukochanego Zgromadzenia”.

Na obiad udała się do *Przytułku Dobroczynności*. Jest tam 2.000 nieuleczalnych, niektórzy zupełnie niedołężni, ale inni uczą się rzemiosł i wykonują różne roboty, którymi pomagają do utrzymania Zakładu.

W Szpitalu św. Franciszka Borgiasza na 1500 chorych, lekarze zebrali się w gabinecie Dyrektora, by złożyć Najprz. Matce uszanowanie.

Podobnie miłe przyjęcie jest też w *Szpitalu Zbawiciela*, gdzie jest 1600 chorych, a pracuje w nim tylko 16 Sióstr!

Zacna Siostra Wizytatorka chce, by Matka Nasza odprawiła pielgrzymkę do Najśw. Panny Niepokalanej, tak drogiej wszystkim katolikom w Santiago. Auto pana Ministra Zdrowia prędko Ją tam zawiezie. U stóp pięknej figury wzniesionej na szczycie mającym parę set metrów wysokości, rozciąga się prześliczny widok na miasto i na śnieżne szczyty Andów. Mała kapliczka tonąca w zieleni napełnia się kornetami. Jak miło tu przesuwać paciorki koronki i śpiewać to drogie wezwanie: „O Mario bez grzechu poczęta..." Odmawiamy jeszcze Ave Maris Stella w hołdzie naszej Niepokalanej Królowej, która schyla ku nam Swoje błogosławiące ręce, i trzeba wracać do Domu Centralnego.

19 października. — Ostatni poranek w Chili poświęcony jest szczegółowemu zwiedzaniu Domu Centralnego, już prawie zupełnie wykończonego. Najprz. Matka podziwia dobre rozmieszczenie Seminarium, dormitarzy rekolekcyjnych, obeszła ogród, świeżo urządzony Ambulans, a wreszcie pozostawiła cenne autografy w liceum i kolegium.

Po obiedzie przykra zawsze chwila pożegnania, bo tak miło czuć się wszędzie w rodzinie, dzięki córecznej miłości Sióstr i jednostajności maluczkiego Zgromadzenia. Matka Nasza żałuje tylko, że nie może odwiedzić wszystkich domów Prowincji, aż do dalekiej Patagonii, gdzie w mieście Magelanie są 3 domy Sióstr. Modlitwa Jej tylko ulatuje ku tym, których nie mogła zobaczyć. Trzeba nam bowiem odlecieć do Peru.

W PERU

Peru zajmuje obszar obszar 3 razy większy od Francji, a liczy tylko 7 milionów mieszkańców.

Zgromadzenie sprowadziła do Peru pewna młoda Peruwianka, która czytając życie św. Wincentego powzięła postanowienie zostać Siostrą Miłosierdzia i poprosiła na to ojca swego o pozwolenie. „Dobrze, odpowiedział, ale pod warunkiem, że nie wyjedziesz z Peru". Niech i tak będzie. Panna Carassa wie czego chce! Zwróciła się do Towarzystwa Dobroczynności, żeby otrzymać fundację w Lima. Przeszkodą do tego jest brak funduszów! Mniejsza o to. Staje się kwestarką i dość prędko zebrała dostateczną sumę na pierwszy zakład. Dnia 29 maja 1857 r. w Paryżu podpisany został kontrakt z jednej strony przez Ojca Etienne i Matkę Moncellet, a z drugiej przez generalnego Konsula z Peru. Wkrótce potem, 19 września tegoż roku 45 Sióstr i 4-ch Misjonarzy wsiadło w Bordeaux na żaglowiec *„Święty Win-*

centy", i 2 lutego 1858 roku dopłynęli do Limy. Siostry miały zająć się trzema szpitalami i domem sierot.

Co tam znalazły? To, co znajduje się zawsze w każdej poważnej fundacji: Krzyż! Posłuchajmy opowiadania o ich początkach. Oto co pisała Siostra Kieffer, (która później została Matką Generalną o Szpitalu św. Anny, w sprawozdaniu z 1873 roku.

„Szpital św. Anny był początkowo przeznaczony dla Indian obojga płci, bo biali mieli Szpital św. Andrzeja, a murzyni Szpital św. Bartłomieja. Po trochu jednak uprzedzenia co do koloru skóry zaczęły się zacierać i wszystkie kobiety kierowano do Św. Anny.

Na czele stała kobieta, którą nazywano „opatką", miała czuwać nad całością i zarządzać domownikami. Ale nikt jej nie słuchał.. stąd Ubodzy byli źle obsłużeni, oddani ludziom bez serca i bez współczucia.

Dnia 29 marca 1858 r. 14 Sióstr z Domu Centralnego, w którym przebywały od dwóch miesięcy, objęło ten dom, który nie był już, jak niegdyś Casa - Santa co znaczy Dom Święty, ale było to miejsce, gdzie się zagnieździły wszelkie występki. Jako mieszkanie Zgromadzenia, Siostry otrzymały tylko duży dormitarz, którego całym umeblowaniem były proste sienniki.

Pierwsza noc była bardzo ożywiona: trzeba było zapomnieć, że to czas poświęcony na milczenie i sen. Całe plemię szczurów, które dotąd były tu bezpodzielnymi panami, nie chciały ustąpić nowo przybyłym i z niesłychaną zręcznością skakały od jednej Siostry do drugiej. Wtedy każda postarała się o kij dla wypędzenia tych niewygodnych lokatorów i zmuszenia ich do ustąpienia! Nie było to rzeczą łatwą... Gdy się zaczęła walka, hałas kijów zbudził czujność pana Ekonoma, który nie mogąc sobie wytłumaczyć tego harmidru, w swej prostocie, posądził Siostry, że biją się między sobą i wziąwszy na odwagę zapukał do drzwi. Ale jakież było zdumienie biedaka, gdy zobaczył Siostry zanoszące się takim szalonym śmiechem, że ledwie mogły wytłumaczyć, o co chodzi!

Gdy już dzień zajaśniał, każda udała się do wyznaczonego sobie oddziału, by asystować przy wizycie lekarzy: cztery dziewczyny szły za tymi panami, każda trzymając zapaloną świecę, służącą doktorowi i jego uczniom do zapalania cygara, które palili cały czas wizyty. Co więcej, dla ratowania się od zaduchu wywołanego niechlujstwem, w jakim żyli chorzy, inna dziewczyna szła za całą grupą paląc kadzidło, którego dym, połączony z dymem cygar i wyziewami chorych, zdolny był wywołać nudności u osób nawet bardziej zahartowanych, niż były nimi nasze Siostry.

Cały miesiąc musiały znosić taki stan rzeczy nie mogąc nic na to poradzić. Wszystkie łóżka stały przy ścianie i otoczone były całkowicie firankami zszytymi razem z jednym tylko wejściem. Żeby zobaczyć osobę która zamknięta była w tego rodzaju klatce, trzeba było podnieść te gałgany, a niestety, cóż tam można było znaleźć? Tu, jakiś student medycyny; tam mężczyzna, kobieta i dzieci wszyscy siedzący w kucki razem z chorą. Dalej koty, psy, szczury nawet prowadzą razem gospodarstwo, do tego stopnia, że chore miały zawsze przy sobie kij.

Podobne szczegóły podane są o innych szpitalach, a oto co opowiada pierwsza Siostra Służebna Domu Sierot.

Były w Domu matki i córki.. było to jakby targowisko, gdzie każdy wchodził i wychodził, jak kto chciał! Gdy zadzwoniono na obiad, widać było ze wszystkich pokoików wszystkich biegnących do kuchni z talerzem w ręku i małą trójkątną bułeczką nadzianą na widelec, a krzyczały jedna przez drugą! W każdym pokoiku było gospodarstwo: koty, kury itp... a do gotowania kamień wydrążony (bo każdy lubiał pietrasić).

W kuchni zakładowej urządzenie składało się z trzech kamieni położonych na środku, a kucharki rozłożone na ziemi, równie czarne jak i mury, dmuchały na marny ogień. Jeden garnek i jedna patelka służyły do wszstkiego".

Ks. Dyrektor Sióstr dodaje jeszcze:

„Te panny sieroty nosiły krynoliny i chodziły na wieczorki... Zostawione same sobie, bardzo potrzebowały reformy...

Co do szkoły dla przychodnich, była ona powierzona nauczycielce imieniem Izabela, godna przez swoją śmiałość i bezczelność, stanąć, na czele afrykańskich żuawów. Ponieważ izba szkolna była w samym środku Domu, zatem ta pani pozwalała sobie wchodzić wszędzie, z podniesioną głową, rozpuszczonemi włosami, wymachując rękami jak telegraf dawnego systemu. Biedne Siostry, nawet najodważniejsze, uciekały na jej widok... Smutny, bardzo smutny był ten stan rzeczy, a trwał jednak dwa lata!"

Ale szczęśliwe skutki obecności Sióstr dawały się coraz bardziej odczuwać tak w szpitalach jak i w sierocińcu i w szkole.

To, co Najprz. Matka dziś widzi bardzo jest pocieszające! Panna Carassa, umarła świątobliwie po spędzeniu 56 lat w Zgromadzeniu, a nie była jedyną Peruwianką, która poprosiła o przyjęcie i obecnie Prowincja liczy 22 Domy z 214 Siostrami. Sprawozdanie z wizytacji lepiej nam wykaże rozwój dzieł i jego szczęśliwe skutki.

LIMA

Zostawiłyśmy Najprzew. Matkę przybywającą tu samolotem. Mimo późnej godziny, bo jest już kwadrans po ósmej, widać na lotnisku długi szereg kornetów, z S. Wizytatorką na czele. Ks. Wizytator także się do nich przyłączył.

Prędko załatwiono formalności paszportowe, a potem entuzjastyczne przyjęcie Sióstr, Pań Miłosierdzia, Dzieci Marii, Pielęgniarek, które tworzą długi orszak, aż do *Domu Centralnego*, dochodzi do tego liczne grono ciekawych, zwabionych niezwykłym o tej porze ruchem.

20 października. — Na Mszę św. odprawioną przez Czcig. Ks. Dyrektora Prowincji zebrało się tyle Sióstr, że nie mogły się pomieścić w kaplicy. Potem Najprz. Matka zwiedza dom. Jak wiele dawnych domów w Lima, ma on tę osobliwość, że nie ma wcale okien. Powietrze i światło dochodzą z wewnętrznego korytarza oszklonego, na który wychodzą oszklone drzwi, oraz przez rzadkie otwory w dachu, tworzącego taras. Dachy w Lima są bardzo często zamieszkałe, tam się spaceruje, pracuje i tam składa się wszystko, co może w domu zawadzać.

Po wysłuchaniu powitania w Seminarium, i dłuższym przemówieniu, w którym zachęcała Siostrzyczki do wspaniałomyślności i wierności, Najprzew. Matka wyrusza w drogę do najdawniejszego domu Prowincji, *Kolegium św. Teresy*, który długi czas był Domem Centralnym. Jest to dawny klasztor Karmelitów, mocno uszkodzony trzęsieniem ziemi z 1940 r. Dzieci z Kolegium, których jest przeszło 1300, a nadto dzieci z Internatu św. Róży witały Najprz. Matkę jedne po francusku, drugie po hiszpańsku, ale wszystkie całym sercem.

Złożywszy jeszcze uszanowanie Nuncjuszowi Apostolskiemu, Najprz. Matka powróciła do Domu Centralnego, gdzie oczekiwały Ją Siostry Służebne zaproszone na obiad. Wizyta domu i kościoła św. Róży Limańskiej zakończyła ten dzień.

21 października. — O godz. 8-ej zebrały się dzieci ze wszystkich kolegiów i internatów limańskich w kościele parafialnym, użyczonym nam na tę chwilę przez Ks. Proboszcza, gdyż nasza kaplica nie mogłaby pomieścić takich tysięcy. Ks. Biskup celebrował, a po Mszy św., zebranie tych wszystkich grup w wielkim salonie Księży Jezuitów. Śpiewów, przemówień, oklasków nie brakowało... ani cukierków także.

Po wizycie u J. Eminencji Ks. Kardynała jedziemy do *Szpitala Dos de Mayo*, gdzie cały personel już oczekuje. W sali administracyjnej, Dyrektor Szpitala, wysoko postawiony urzędnik w służbie zdrowia, po powitaniu Najprz. Matki, przypomniał usługi oddane przez Jej córki przez lat przeszło 90, i oznajmił, że jako podziękowanie, rząd peruwiański przyznał Jej najwyższe odznaczenie Państwa, zwane „Sol". Zabrzmiały huczne oklaski, a Magnificat odśpiewane z zapałem w kaplicy przez

chór męskich głosów, był jeszcze wyrażeniem ogólnej radości. Ze Szpitala Najprz. Matka przeszła do Kolegium, a stamtąd do Domu Centralnego, gdzie zebrały się Siostry nie tylko z Limy, ale i z wielu domów z prowincji. Izba Zgromadzenia za ciasna, ale mniejsza o to, Matka nasza uszczęśliwia wszystkie swoją prostotą i pełną miłości dobrocią.

Sobota 22 października. — Wczesnym rankiem Najprz. Matka jedzie do *Magdalena del Mar*, gdzie mamy 3 domy i gdzie jest rezydencja Księży Misjonarzy.

Pierwsza wizyta w *Sierocińcu*, 300 dzieci podzielone jest na trzy sekcje: starsze, średnie i małe. Wspaniały zakład nad brzegiem morza, wśród ogrodów, gdzie dzieci mają wszystkiego do woli. Matka Nasza przechodzi długie szeregi wśród okrzyków radości, potem powitalne przemówienia, tradycyjne Magnificat, zwiedzanie Domu i przynależącego do niego *„Klimatyku"*. Jest to dzieło, gdzie co trzy miesiące przyjmuje się 150 do 300 dzieci, by odetchnęły morskim powietrzem, nauczyły się znać Pana Boga i odprawiły I-szą Komunię św.

Tuż obok jest *Puericultorio*, dla dzieci opuszczonych od urodzenia do lat 7-miu. Potem krótka wizyta w rezydencji Księży Misjonarzy i spieszymy do *Świętej Ludwiki*. Jest to Dom Zgromadzenia dla Sióstr Dawnych i chorych. Jest tam też kolegium, z którego dzieci opowiadały Matce Naszej, że od paru miesięcy Siostry pobudzały ich ciekawość mówiąc, że św. Ludwika, ich babcia, przygotowuje im niespodziankę. Po obiedzie miła rekreacja w infirmerii, gdzie chore zapominając swego wieku i dolegliwości, płakały, śmiały się i śpiewały ze wzruszenia. Chciałyby trochę zatrzymać słońce, ale trzeba jechać dalej, bo dużo jeszcze do zrobienia tego dnia.

Jedziemy odwiedzić *Szpital nieuleczalnych*, gdzie dziś twarze wszystkich biedaków promienieją; dalej *Macierzyństwo*, będące na miejscu dawnego szpitala św. Anny, co budzi wspomnienia naszych Czcigodnych Matek Havard i Kieffer.

Blisko stamtąd *Szpital wojskowy*, gdzie Najprz. Matka przyjmowana jest z największymi honorami, a muzyka gra hymn Narodowy.

Niedziela, 23 października zostawiona była różnym Stowarzyszeniom: Dzieciom Marii, Paniom Miłosierdzia, Stow. św. Ludwiki. O godz. 8-ej w parafii, po Mszy św., na której Dzieci Marii śpiewały, wszystkie te grupy zebrały się w największej sali Uniwersytetu Katolickiego, by śpiewami i przemowami wyrazić Matce Naszej swoją radość i przyjąć ze wzruszeniem obrazek pamiątkowy. Pozostaje do zwiedzenia *Szpital Arzobispo Loayza*, gdzie całe grono lekarzy oczekuje Najprz. Matkę przy drzwiach i towarzyszy Jej do kaplicy, a po Magnificat, Dyrektor w imieniu wszystkich wita Ją w rozmównicy. Potem szybki obchód głównych oddziałów, pięknie urządzonych w pawilonach otoczonych zielenią ogrodów. Po obiedzie, na którym zebrały się znów wszystkie Siostry Służebne, jeszcze wizyta Szkoły pielęgniarskiej, którą się Najprz. Matka żywo zainteresowała. Przeszło 150 uczennic, porządek i karność doskonała. Jedna z uczennic w pięknym przemówieniu obiecuje Najprzew. Matce w imieniu wszystkich. że starać się będą być chlubą Sióstr, godnie wypełniając swój zawód pielęgniarek.

Nadeszła godzina pożegnania. Następne Echo podąży za Najprzew. Matką do Ekwatoru.

L I S T A
Drogich naszych Sióstr zmarłych w Polsce w 1949 r.

W Prowincji Warszawskiej:

12. I **S. Stanisława Bożkiewicz,** wieku lat 88, pow. 58. Po obłóczynach umieszczona była w Kaliszu i pracowała tam kilkanaście lat z wielkim poświęceniem, odznaczając się taktem i rozsądkiem. To też gdy potrzebna była Służebna do Staszowa, gdzie chwilowo stosunki z administracją były trochę naprężone, Przełożeni na nią zwrócili oczy. W zupełności odpowiedziała położonemu w niej zaufaniu. Rozsądną uległością naprawiła stosunki i zyskała całkowite uznanie. Długo, bo lat przeszło 30 pozostawała tam Siostrą Służebną, ale z czasem warunki stawały się trudniejsze, a S. Bożkiewicz nie miała już sił, by zastosować się do nowych wymagań, opuściła więc szpital, by przejść do domu wypoczynkowego w Lipowej, gdzie szyciem starała się być pożyteczną. Gdy w 1944 r. Siostry wysiedlone zostały z Lipowej przez władze hitlerowskie, Siostry staruszki przeważnie szukały schronienia w Częstochowie i S. Bożkiewicz tam się znalazła, ale na krótko. Pojechała stamtąd do Turku, gdzie chętnie ją trzymano, bo cicha i pracowita, była prawdziwą pomocą szyciem, a przy tym budowała cnotą. Jednakże dolegliwości wieku wzrastały, stawała się coraz bardziej niedołężną. Wróciła do Domu Centralnego, który jednak był w fazie odbudowy i nie miał spokojnego, ciepłego kącika dla Sióstr Dawnych. Pojechała zatem do Kurozwęk i tu Pan Bóg dał jej łaskę, że właśnie Ojciec Dyrektor przyjechał na wizytację, gdy ostatecznie zasłabła. Najczcig. Ojciec udzielił jej Ostatnich Sakramentów i przygotował na śmierć, wkrótce też po Jego wyjeździe spokojnie zasnęła w Panu.

21. III **S. Józefa Zabiełło,** wieku lat 71, pow. 48. Bystra, inteligentna, z wielkim poświęceniem służyła chorym, gdy jako młoda Siostra przez rok umieszczona była w Szp. Dzieciątka Jezus. Bardzo ją też chorzy kochali, ale brakowało jej wyrobienia praktycznego, skutkiem czego porządek na oddziale nieco szwankował. Może się to wyda trudnym do uwierzenia Siostrom, które znały ją później, gdyż doskonale się pod tym względem wyrobiła. Długie lata spędziła w Kielcach, przeważnie w aptece, była tam też wielką pomocą Siostrze Starszej Nowickiej. Gdy Przełożeni potrzebowali Służebnej do Góry Kalwarii, na nią zwrócili oczy. Warunki były tam na razie okropne. Najczc. S. Wizytatorka przywiozła nową S. Służebną popołudniu i miała tam przenocować.

Biedna S. Służebna prosiła Zarząd Miejski o sprawdzenie stanu Zakładu. Po przeprowadzeniu Komisji, panowie przerażeni pustkami, jakie zastali w piwnicy i w śpiżarni, przyszli z pomocą, ale była to już późna jesień i nie łatwo było zaopatrzyć dostatecznie na zimę zakład liczący około tysiąca osób. To też całą zimę S. Zabiełło niestrudzenie jeździła po wsiach i gdzie mogła, skupując jarzyny, nawet przemarznięte kartofle, bo jeszcze nieraz nie było wprost co włożyć do kotłów. Ale gdy wyjeżdżała stamtąd w 1930 r. dla objęcia kierownictwa Szpitala Dziec. Jazus, wszystkie piwnice i magazyny pozostawiła dostatnio zaopatrzone. Przez 9 lat pracowała u Dzieciątka, kierując tym największym szpitalem w naszej Prowincji, nie żałowała trudów, ale pod koniec bardzo podupadła na zdrowiu, tak że zdawszy urząd swej następczyni, całe pół roku musiała przebyć na kuracji. Gdy przyszła już trochę do sił, Przełożeni powierzyli jej mały domek w Białej Podlaskiej i tam szczęśliwie przebyła wojnę, gdyż Szpital w Białej należał do tych wyjątkowych placówek, które w ciągu całej straszliwej wojny nie uległy żadnemu zniszczeniu. Ze zdrowiem jednak było coraz gorzej, chodziła z trudnością mając zanik mięśni w nogach. Przyjechała do Warszawy na kurację i nie wróciła już do Białej, gdyż okazała się gruźlica kręgosłupa. Przeleżała pół roku w gipsowym łóżeczku, potem zaczęła trochę wstawać i zamieszkała na stałe w Chylicach. Mimo długiej choroby umarła nagle i niespodziewanie. W nocy dostała ataku serca, czując, że umiera, zaraz poprosiła o księdza. Ojciec Szymański był na miejscu, więc zdążył udzielić jej Ostatniego Namaszczenia i absolucji.

7. V **S. Maria Konstancja Zdanowicz,** wieku lat 59, pow. 19. Przed wstąpieniem 10 lat spędziła we Francji jako wychowawczyni w zacnej, polskiej rodzinie. Ponieważ zatem znała język francuski, więc posłana została do Paryża na dokończenie Seminarium i po obłóczynach umieszczona w domu polskim w Gautherets. Gdy zaczęła chorować przyjechała do kraju, bo Przełożeni spodziewali się, że rodzinne powietrze lepiej jej będzie służyło. Choć zawsze już była słabego zdrowia, jednak przepracowała parę lat w Płocku, a właściwie pod Płockiem prowadziła gospodarstwo na folwarczku należącym do Sióstr. Ostatnie parę lat spędziła w Staszowie, gdzie z wielkim oddaniem służyła chorym. Miała miły, zgodny charakter i zawsze była budująca.

18. V **S. Julianna Barańska,** wieku lat 55, pow. 34. Po obłóczynach umieszczona była w Zakładzie Dobroczynności w Warszawie. Gdy Towarzystwo Dobroczynności otrzymało dobra Gościeradów i urządziło szpital, S. Julianna pojechała tam do kuchni. Gospodarstwo należało do Administracji, ale ślicznie się zagospodarowała, wszystko było w największym porządku, należycie zaopatrzone. Skoro więc Przełożeni szukali Służebnej dla Ochrony w Kielcach, będącej w bardzo trudnych warunkach materialnych, S. Wizytatorka przypomniała sobie gospodarność i miłe podejście do dzieci S. Barańskiej, jej zatem dom ten został powierzony.

Prędko dobrocią pozyskała sobie serca dzieci. Pracy było dużo, S. Julianna nie oszczędzała się, zawsze chwytała za najgrubszy koniec, nie szukając dla siebie żadnej dogodności. Prócz obowiązków Służebnej wzięła na siebie kuchnię i gospodarstwo. Bardzo też podniosła dobrobyt Zakładu. Brak przygotowania teoretycznego uzupełniła na Kursie wychowawczym w Poznaniu. Nie liczyła się ze swymi siłami, organizm jej wszakże nie mógł wytrzymać ciągłej, nadmiernej pracy i zaczęła zapadać na zdrowiu. Mając jednak twarz okrągłą i zawsze w silnych kolorach, nie wydawała się chora i sama nie chciała wierzyć w swoją chorobę mimo uporczywego kaszlu, chudnięcia i osłabienia. Gdy wreszcie udała się do lekarza, ten stwierdził otwartą gruźlicę. Wyjechała na kurację. Cały dom był przygnębiony, dzieci nieustannie modliły się o powrót Siostry, którą kochały jak matkę. Wielka więc była radość, gdy po pół roku powróciła. Niestety, nie na długo. Nie umiała się oszczędzać, a przy tym nie umiała zachowywać potrzebnych ostrożności, by nie zarażać innych. Musiała zatem znów wyjechać, tym razem do Kurozwęk, gdzie po kuracji została na stałe i pracowała przy chorych, dokąd jej sił starczyło Potem umieszczona została w Górze Kalwarii na oddziale gruźliczym i tam umarła skutkiem niespodziewanego, gwałtownego krwotoku.

25. VI **S. Franciszka Szumiel,** wieku lat 59, pow. 39. Po obłóczynach pracowała jakiś czas w szpitalach we Włocławku i w Lublinie, ale bardzo zręczna do szycia i wszelkich robót ręcznych, długie lata spędziła w Zakładzie św. Ludwika w Warszawie, prowadząc szwalnię, najprzód na Nowolipkach, a potem w czasie okupacji, na Górczewskiej. Gdy w czasie powstania Zakład został zniszczony, S. Franciszka, która już od paru lat bardzo podupadła na zdrowiu, schroniła się do Tworek, potem pojechała na Runów. Wzmocniwszy się trochę, objęła szwalnię w Zakładzie św. Wincentego, ale nie na długo. Zachorowała ciężko i przyjechała do Domu Centralnego, by tu umrzeć po kilku miesiącach cierpień.

28. VI **S. Maria Kazimiera Nowakowska,** wieku lat 64, pow. 37. W Zgromadzeniu znana była pod imieniem S. Krystyny. Pan Jezus doświadczył ją ciężkim krzyżykiem, bo choć nie stara jeszcze, bardzo już była niedołężna, zwłaszcza stale bolały ją nogi. Wiele miała zmian w swym życiu. Ostatnio posłana do Miechowa starała się być pożyteczną. Umarła tam na ciężką grypę, serce zawsze słabe nie mogło wytrzymać choroby.

1. VIII **S. Wanda Maria Ryży,** wieku lat 65, pow. 24. Była to jednostka nieprzeciętna, umysł miała przenikliwy i gorące serce, to też, o ile uda nam się zebrać dosyć materiału, chciałybyśmy napisać o niej specjalne wspomnienie, bo trudno pomieścić wszystko w krótkiej notatce. Pochodziła z kresów, z powiatu oszmiańskiego. Zawsze odznaczała się bujnym temperamentem, bardzo zdolna, żywo czująca, oddawszy się zawodowi

nauczycielskiemu, całym sercem ukochała młodzież. Mając lat 18 przyjechała do Warszawy i prosiła o przyjęcie do naszego Zgromadzenia, ale otrzymała odmowę. Wobec tego wstąpiła do ukrytego Zgromadzenia w Wilnie. Przez lat przeszło 20 pracowała tam jako wybitna siła nauczycielska w szkole zwanej „Wzorówką", jaką to Zgromadzenie prowadziło. Z innych szkół wileńskich przysyłano do tej szkoły dzieci nie chcące się uczyć, a jej przeważnie udawało się natchnąć im zamiłowanie do nauki. Jednakże od czasu do czasu budziło się w niej pragnienie urzeczywistnienia pierwotnego zamiaru i wstąpienia do Sióstr Miłosierdzia. Jak niegdyś Pan Bóg pokierował dziwnie zbiegiem okoliczności, skutkiem czego nie została przyjęta, tak teraz okoliczności nie mniej cudownie się złożyły, by Przełożeni zdecydowali się przyjąć osobę w tym wieku, z innego Zgromadzenia. Miała już bowiem lat 41. Po obłóczynach pracowała trochę w Domu Centralnym, potem parę lat w Ochronie w Kielcach. Gdy zaś otwartym został Aspirat w Domu Centralnym, wezwana została do uczenia aspirantek, a także dawała trochę lekcji w szkole powszechnej. Mając do czynienia z różnymi szkołami, kursami, egzaminami, wielkie zyskała poważanie wśród sfer nauczycielskich i wychowawczych. Podziwiano śmiałość jej pomysłów i poglądy wyprzedzające swoją epokę. Nieraz też ludzie z wyższym wykształceniem i na stanowiskach prosili ją o rady i wskazówki. Gdy wybuchła wojna, Aspirat z konieczności został zwinięty, oddała się całkowicie pracy w szkole. Coraz bardziej także zaczęła zapadać na zdrowiu. Choroba jej miała pozory gruźlicy, ale było to coś innego, podobno nadzwyczaj rzadka, więc dla lekarzy ciekawa choroba. Zacny Dr Dąbrowski przyjął ją do swego Sanatorium w Zagórzu i otoczył wszelkimi potrzebnymi dla zdrowia staraniami. S. Maria starała mu się za to wywdzięczyć i ze swej strony oddawała różne usługi, głównie dobrymi radami, które bardzo cenił. Wywierała pewien wpływ duchowy na cały personel Zakładu. Pewien kapłan, który miał z nią bliżej do czynienia i był dłuższy czas jej spowiednikiem, wyraził się, że „ktokolwiek zbliżył się do niej, stary czy młody, inteligent czy prostaczek, każdy odchodził od niej trochę lepszym". Choroba jednak, choć powoli, postępowała naprzód, bo do tej pory wiedza lekarska nie znalazła na nią sposobu. W lutym tego roku, po dwóch latach pobytu w Sanatorium, powróciła do Domu Centralnego. Choć bardzo słaba, w oczach miała jeszcze dużo życia i energii. Powoli jednak zaczęły one przygasać i ostatni miesiąc jej życia był powolnym, bolesnym konaniem.

28. VIII **S. Wiktoria Toś,** wieku lat 67, pow. 43. Dobra i cicha Siostra, długie lata pracowała w kuchni w Zakładzie Sierot Chłopców w Warszawie, a później w Szpitalu św. Aleksandra w Kielcach Pobożna, oddana obowiązkom swego urzędu, przechodziła prawie niepostrzeżenie. Przed rokiem ciężko chorowała na serce, zdawało się, że umrze, a choć wyzdrowiała, to jednak nie miała już sił do pracy w kuchni, pomagała zatem na oddziale u chorych, prowadząc dział gospodarczy. Parę tygodni

przed śmiercią odprawiła rekolekcje, szczęśliwie z nich powróciła do domu, a w jakieś dwa tygodnie potem, nagły atak zakończył jej życie.

12. IX **S. Helena Berne,** wieku lat 60, pow. 32. Od początku swego powołania budziła wielkie nadzieje i ówczesna Wizytatorka, Matka Sikorska, posyłając ją po obłóczynach do Wielunia, pisała do Siostry Służebnej: „Posyłam Siostrze Drogiej najlepszą z najlepszych". Miała zaledwie 9 lat powołania, gdy wybrana została na Służebną do Łowicza, gdzie tak potrafiła wszystkich zadowolnić, a przy tym tak pilnie przestrzegała wszystkich Reguł św., że uczyniła z tego szpitala prawdziwie wzorowy dom Zgromadzenia. Przełożeni myśleli nawet uczynić ją Dyrektorką Seminarium, ale nie czuła się na siłach do tego urzędu, bo rzeczywiście jakiś czas zagrożona była chorobą płucną. -Siostry w Łowiczu czuły się bardzo szczęśliwe, zatem gdy stosownie do dekretu Ojca św. musiała być zmieniona, Przełożeni chcąc uszczęśliwić więcej Sióstr jej kierownictwem, zamianowali ją Służebną Szpitala św. Stanisława na Woli. Tam przebyła wojnę, tułaczkę, najprzód w Studzieńcu, potem Szpital osiedlił się na Pradze przy ul. Boremlowskiej, gdzie trzeba się było borykać z różnymi brakami. Nim odbudowano dawne gmachy przy ul. Wolskiej, opuściła go w 1947 roku, by objąć kierownictwo Szpitala Dzieciątka Jezus. Tutaj pracowała do końca i można powiedzieć, że padła z bronią w ręku, bo położyła się dopiero na 4 dni przed śmiercią. Jej przygotowanie się na śmierć daje najlepszy obraz jej ducha i rzadko spotykanego zrównoważenia i obowiązkowości, jakie ją cechowały. Dolegliwości jakie odczuwała nie przestając pracować, a ostatnio badania lekarskie, kazały podejrzywać raka w żołądku, co się okazało prawdziwym. To też lekarze uznali operację za konieczną i to jak najprędzej. Zdawała sobie sprawę, że operacja będzie ciężka i niebezpieczna, wyspowiadała się zatem jak na śmierć, poprosiła o Ostatnie Namaszczenie i odnowiła Śluby święte, aby być zupełnie gotową i by potem nie było kłopotu. Rzeczywiście, operowana była w sobotę, a w poniedziałek umarła, wielki żal po sobie zostawiając.

15. XI **S. Feliksa Goszczyńska,** wieku lat 61, pow. 35. Po obłóczynach umieszczona w Zakładzie Chłopców zwanym Domem Pracy w Lublinie, pracowała tam do chwili wycofania Sióstr naszych z tego Zakładu. Mieścił się on bowiem w klasztorze podominikańskim, a gdy OO. Dominikanie upomnieli się o swoją własność, wraz z klasztorem objęli i Zakład. S. Feliksa dobra, cicha i bardzo pracowita, z całkowitym oddaniem prowadziła pralnię i dbała o bieliznę dziecinną, co u chłopaków wymaga niemałej pracy. Po opuszczeniu Zakładu w 1947 r. posłana została do Szpitala w Siedlcach, ku wielkiemu zadowoleniu S. Służebnej, że dostała taką dobrą Siostrę. Niestety radość trwała krótko, bo Pan Jezus dopuścił na nią przykrą chorobę. Jakiś nowotwór prawdopodobnie rak, umieścił się w kiszkach i zupełnie zamknął ich światło. Musiała poddać się operacji, na której zrobiono jej sztuczny odbyt z boku. Po

operacji przyjechała do Domu Centralnego, z początku trochę chodziła, a nawet pomagała w czym mogła, ale była coraz słabsza, cicho i spokojnie przygotowując się na śmierć.

23. XI **S. Bronisława Tracewska,** wieku lat 65, pow. 45. Bardzo pracowita, gospodarna, bardzo była lubiana we wszystkich domach, gdzie mieszkała. Siostra Służebna ze Szpitalika w Lublinie, ceniąc jej roztropność i doświadczenie, powierzyła jej zarząd domu na Kazimierzówce, gdzie mieści się Prewentorium dla 50 dzieci zagrożonych gruźlicą, a nadto domek drewniany, zwany chałupą, ale bardzo wygodnie urządzony dla Sióstr chorych lub wyczerpanych. S. Bronisława miała specjalny dar barwnego opowiadania różnych przygód, czym mile urozmaicała pobyt na Kazimierzówce Siostrom, które tam przyjeżdżały dla nabrania sił lub dla kuracji. Od paru lat cierpiała różne dolegliwości, chora na astmę, na serce, w tym czasie także złamała rękę, ale nie dawała się, jak mogła trwała na urzędzie i przed śmiercią mówiła, że się cieszy, że z bronią w ręku umiera.

W Prowincji Krakowskiej:

4. I **S. Maria Zarytkiewicz** zmarła w Tenczynku w wieku lat 67, pow. 45.

S. Ludwika Zdziebło, zmarła w Zakładzie Helclów w Krakowie, w wieku lat 72, pow. 49. Pozostawiła po sobie miłe i budujące wspomnienie. Odznaczała się łagodnością i uprzejmością dla Sióstr, oraz wyrozumieniem dla chorych, kalek i staruszek, którym służyła. Chętnie słuchała ich użalań, pocieszała i łagodziła. Drugim jej pięknym rysem, to dokładność w pracy, wszystko utrzymywała we wzorowym porządku starannie przechowywała bieliznę chorych, sama znaczyła, by nic nie zginęło. W ostatnim czasie, choć cierpiąca, wyczerpana gruźlicą i z trudem posuwająca zreumatyzmowane nogi, pomagała na oddziale ile tylko mogła. Ulubioną jej modlitwą był Różaniec, który odmawiała z chorymi, u wezgłowia umierających, a po ich śmierci, przez 9 dni za spokój ich dusz. W chorobie była bardzo cierpliwa i wdzięczna za najmniejszą usługę, a przy tym pokorna — gdy prosiła o co, dodawała: jeśli można..., ażeby to nie było z krzywdą ubogich. Po zaopatrzeniu św. Sakramentami myślała już tylko o Bogu i o wieczności, Ufamy, że już cieszy się ze swym bratem Misjonarzem i dwoma rodzonymi siostrami, Siostrami Miłosierdzia, którzy ją poprzedzili do wieczności.

22. VI **S. Teresa Jankowska,** Dyrektorka Seminarium prowincji Krakowskiej, zmarła w Domu Centralnym, w wieku lat 62, pow. 34.

25. VI **S. Teofila Dudek** (w Zgromadzeniu S. Antonina), zmarła w Domu Centralnym w wieku lat 86, pow. 61. Pospieszyła zaraz za swą ukochaną S. Służebną, gdyż umarła w dzień pogrzebu S. Dyrektorki, której była towarzyszką w Domu Św. Wincentego. Młode swe lata spędziła w żmud-

nej a gorliwej pracy przy gospodarstwie, była pracowita, staranna i odznaczała się dobrym sercem. Kochała św. Reguły i praktykowała miłość wzajemną. Gdy nadwątlone siły nie pozwoliły jej prowadzić nadal gospodarstwa na ostatniej placówce w Podhorcach, umieszczona została w Domu św. Wincentego we Lwowie. Tu, jako uprzejma i uczynna Siostra furtianka, znana była Siostrom licznie przybywającym do tego domu na rekolekcje. W 1945 roku przyjechała z innymi Siostrami do Krakowa, zaniesiono ją wprost na infirmerię. Cztery lata jeszcze oczyszczał ją Pan Jezus w ogniu cierpień, zanim ją powołał do Siebie.

14. VII. **S. Maria Czarlińska** zmarła w Domu Centralnym w wieku lat 69, pow. 46.

20. VII **S. Adolfina Pirga,** wieku lat 80, pow. 58. Droga ta Siostra uświęciła się w ciężkiej pracy przy gospodarstwie. Regularna, pobożna, wierna swym obowiązkom, była przy tym pogodna i pełna miłości. Na rekreacjach rozweselała towarzyszki swym miłym humorem. Ostatnie lata przed wojną spędziła we Lwowie w Zakładzie nieuleczalnie chorych im. Zborowskich. Przyjechała do Przeworska, a potem w 1948 r. do Domu Centralnego na infirmerię. Cicho i cierpliwie znosiła cierpienia dokuczliwej choroby serca i wodnej puchliny, zawsze uprzejma i wdzięczna za odbierane usługi. Odeszła niepostrzeżenie do Boskiego Zbawiciela, Który bez wątpienia przyjął ją najłaskawiej.

13. VIII **S. Marianna Adamczak,** wieku lat 72, pow. 50. Była to Siostra wzorowa pod każdym względem. Długie lata pracowała w szpitalach z wielkim poświęceniem, a przed wojną przez kilka lat w aptece Szpitala Państwowego we Lwowie. Siostry, które znały ją bliżej wspominają ją bardzo serdecznie. Mówią, że cała oddana była obowiązkom, a zawsze złączona z Bogiem, ustępliwa i miła w pożyciu. Po przyjeździe ze Lwowa do Domu Centralnego w 1945 r. bardzo gorliwie pracowała w pralni aż do ostatniej choroby. Dla domownic uprzejma i dobra, nigdy nie mieszała się do tego, co do niej nie należało. Do Siostry I-szej w urzędzie, młodszej od niej wiekiem i powołaniem odnosiła się z szacunkiem i pokorą, o wszystko się pytała i nigdy nie zwolniła się z pracy bez jej pozwolenia. Siostra ta opowiada, jak była wzruszoną, gdy śp. S. Paulina nazajutrz po swej uroczystości jubileuszowej prosiła, by mogła jeszcze jeden dzień nie przyjść do pralni. Nikt nie przypuszczał, że tak prędko odejdzie na zawsze. W maju ogarnęła ją jakaś dziwna niemoc i niepokój. Prosiła, by mogła się położyć choć na 3 dni, a potem, jak mówiła, pójdę do roboty. Tymczasem stan się pogorszył, a badanie lekarskie wykazało sarkomę na tarczycy. Siostra Droga zgodziła się z wolą Bożą, chorobę znosiła bardzo budująco, troskała się tylko, że Siostry mają z nią dużo kłopotu. W ostatnich dniach życia cieszyła się, że pójdzie do nieba. Umarła w sobotę przed Wniebowzięciem i ufamy, że Matka Niepokalana zabrała ją do nieba.

17. VIII **S. Zuzanna Kędzierska,** wieku lat 63, pow. 43 Droga ta Siostra zostawiła nam budujące wspomnienia. Wiele lat spędziła w ciężkiej pracy przy kuchni. Dobra dla wszystkich i zgodna, każdemu rada była usłużyć i dogodzić. Kochała Reguły św. i była bardzo pobożna. Do Domu Centralnego przyjechała ze Lwowa w 1945 r. Skoro jednak tylko trochę odpoczęła, zaraz zabrała się do roboty naprawiając Siostrom święte suknie. Pogodna, uprzejma, niewymagająca, odznaczała się szczerością i prostotą, a przy tym delikatna, uważała, by nikomu nie zrobić przykrości. Pod koniec rana na nodze się odnowiła, kaszel nieustanny rozdzierał jej piersi, mimo to prawie do ostatka chodziła na chórek i zaledwie na kilka dni przed śmiercią położyła się do łóżka. Prawie bez konania odeszła do swego Oblubieńca, którego tak bardzo miłowała.

18. VIII **S. Maria Tomczyk,** zmarła w Zakładzie Helclów w wieku lat 65, pow. 43. Dziewica Niepokalana, której S. Maria była wierną czcicielką zabrała ją w oktawę Swego Wniebowzięcia. S. Maria była dobrą Córką Miłosierdzia i łatwo można było dostrzec u niej cnoty stanowiące ducha naszego powołania. Zawsze cicha, ustępliwa, prosta w obejściu i szczera, zgodna w pożyciu, usłużna dla wszystkich. Dokładnie i sumiennie wykonywała swe obowiązki w szwalni zakładowej Równie starannie wykańczała robotę dla najbiedniejszych za darmo, jak i dla innych za zapłatą. Przeczuwała, że umrze w tym roku i z pogodną rezygnacją mówiła nawet o tym z towarzyszkami. Prowadziła w Zakładzie Stowarzyszenie Dzieci Marii, a jako kierowniczka świetlicy zakładowej, przygotowywała obchody świąt Maryjnych starannie i uroczyście. Ostatnia choroba zmogła ją szybko. Zmarła spokojnie i cicho, jak żyła, zostawiając u wszystkich, którzy ją znali żal i dobre wspomnienie.

27. IX **S. Marianna Jurkiewicz,** wieku lat 73, pow. 46 Droga S. Jurkiewicz znaną ogólnie pod imieniem S. Bronisławy, zostawiła po sobie wielki żal w Domu Niepokalanego Poczęcia, gdzie przez 45 lat, pracą swoją w szwalni, przyczyniała się do utrzymania wielu staruszek i kalek zamieszkałych w tym domu. Była to pod każdym względem budująca Córka Miłosierdzia. Miłośniczka zgody, przeszła przez życie czyniąc dobrze. Jej usposobienie łagodne i pełne uprzejmości ujmowało wszystkich Do każdego umiała się zniżyć, była wrażliwa i współczująca na cierpienia bliźnich. Obowiązki swe spełniała gorliwie, z największą sumiennością. Bardzo przywiązana do Zgromadzenia, wierna Córka św. Założycieli, kochała wielce Matkę Najświętszą i często widywano ją w kaplicy przesuwającą pobożnie paciorki koronki. W ostatniej chorobie budowała wszystkich swą cierpliwością i pogodą, a choć pragnęła jeszcze żyć i pracować dla ubogich, poddawała się z uległością woli Bożej. Ufamy, że Boski Zbawiciel już ją wynagrodził za tak długą i wierną służbę.

27. IX **S. Maria Głowińska,** zmarła w szpitalu w Tarnowie, w wieku lat 46, pow. 23. Droga ta Siostra całe życie w Zgromadzeniu przepędziła w uciążliwej pracy w kuchni. Zawsze bardzo pracowita i sumienna, na ostatniej placówce wyczerpała się zupełnie. Zajęta od rana do późnego wieczora, nie skarżyła się nigdy, że jej ciężko. Starała się dogodzić chorym starannie przygotowując potrawy na oznaczoną godzinę. Z trudem zdobywała czas na ćwiczenia duchowne, a mając piękny głos mawiała czasem: „Czego nie zdążę wypowiedzieć Panu w modlitwie, to wyśpiewam w pieśni", i zawsze chętnie spieszyła na chórek. Bardzo pobożnie odmawiała koronkę, a jeśli kiedy będąc słabą musiała położyć się wcześniej, klękała przy łóżku z obawy, aby nie zasnąć przed jej ukończeniem. Nigdy nie mówiła o sobie, nie zwracała na siebie uwagi, nie zazdrościła Towarzyszkom lżejszego urzędu, że miały czas na rekreacje lub na jakie nabożeństwa. Mówiła, że najlepiej się czuje, gdy dokładnie spełni swój obowiązek. Zawsze zdrowa i silna, nie uważała na bóle głowy, które zaczęły jej dokuczać na kilka miesięcy przed śmiercią. Nagle straciła apetyt i tak spadła z sił, że prosiła o chwilowe zastępstwo. Gdy tego nie otrzymała, poddała się mówiąc: „Wola Boska, będę pracowała, póki mi sił stanie". I pracowała znosząc cierpliwie różne przykrości, jakich jej Bóg nie szczędził w tym czasie, aż pewnego dnia zemdloną zabrano do łóżka. Po kilkakrotnym badaniu lekarze orzekli, że rak w najzłośliwszej swej formie zajął cały organizm i nie ma na to ratunku. Zataiłyśmy to przed chorą, gdyż pragnęła żyć i łudziła się, że wkrótce wstanie. W przededniu śmierci zemdlała na korytarzu, trzeba było aż zakazu lekarza, by nie wstawała. Nazajutrz rano czuła się lepiej, po wizycie lekarza zasnęła, nagle o 12-ej obudziła się, z gwałtownym atakiem serca i sinicą, która potęgowała się z każdą chwilą. Przez 20 minut, podtrzymywana przez Siostry w pozycji siedzącej, walczyła ze śmiercią, która szła ku niej nieubłaganie. Przytomnie powtarzała za nami akty strzeliste. Nadszedł kapłan, a udzieliwszy absolucji i Ostatniego Namaszczenia wyszedł po Wiatyk. Chora powiedziała: „Już nie zdąży", opadła na poduszki i spokojnie zasnęła snem śmierci.

1. X **S. Karolina Skórska,** zmarła w Zebrzydowicach, w wieku lat 70, pow. 50. Pozostawiła budujące wspomnienia, gdyż cała była przejęta duchem św. powołania. Bardzo pobożna, wierna Regułom św., przywiązana do Zgromadzenia, dusza szlachetna, pogodna, o prawym charakterze. Pełna ducha wiary, posłuszna do skrupułu, nie tylko sama nie wyrzekła nigdy słowa przeciw Przełożonym, ale nie znosiła takiej mowy u innych. W pierwszych latach powołania pracowała przy dzieciach, a potem w szpitalach w szwalni. Mimo wątłego zdrowia bardzo gorliwie spełniała swe obowiązki. Zawsze zrównoważona, pełna miłości i wyrozumiałości, bardzo była uczynną, to też wszędzie mile ją wspominają. Przeżywała z nami ciężkie chwile okupacji, a następnie w 1944 r., w czasie wysiedlenia Domu Centralnego wyjechała do Zebrzydowic,

gdzie pogodą swoją dodatnio wpływała na towarzyszki. Póki jej sił starczyło zajmowała się pracą ręczną, ale w roku swego jubileuszu zupełnie zapadła na zdrowiu i zbliżała się do kresu. Odeszła po nagrodę za życie czyste, pełne poświęcenia i dobroci.

23. X **S. Maria Grott,** w wieku lat 89, pow. 64. Droga S. Grott spędziła długie lata w uciążliwej pracy przy gospodarstwie. Obowiązki spełniała gorliwie, sumiennie i z wielką znajomością rzeczy, to też wszędzie była bardzo pożyteczna. Pobożna, łączyła modlitwę z pracą. W czasie ostatniej wojny przechodziła wraz z innymi Siostrami ciężkie chwile. W 1945 r. przyjechała do Domu Centralnego i tu spędziła ostatnie lata życia, mając za urząd modlitwę. Kochała Różaniec i codziennie odmawiała go w intencji Zgromadzenia, często odprawiała Drogę Krzyżową. Z radością i wdzięcznością obchodziła 60-cio lecie swego powołania. Zawsze pełna energii, choć już jej to przychodziło z trudnością, szła do kaplicy i na konferencje. Zmarła po krótkiej, dwutygodniowej chorobie.

9. XI **S. Anna Daczkowska,** wieku lat 80, pow. 52. Droga S. Anna wiele przeżyła trudności i cierpień nim doszła do swego celu i została Siostrą Miłosierdzia. Mimo to do późnego wieku zachowała pogodę ducha i radosne, dziecięce usposobienie, co ją czyniło bardzo miłą. W pierwszych latach powołania pracowała w pralni w Domu św. Magdaleny we Lwowie, gorliwie i sumiennie spełniając swe obowiązki, potem parę lat w Szpitalu wojskowym w Krakowie, a wreszcie długie lata w Trosciańcu służyła chorym z wielkim poświęceniem. Tam przebyła ostatnią wojnę i stamtąd w 1945 r. przyjechała do Domu Centralnego. Zawsze uprzejma i zgodna, wiele umiała znieść, „dla świętego spokoju", jak mówiła Będąc wesołego usposobienia, nigdy nie okazywała przykrości, gdy Siostry śmiały się nieraz z jej zabawnych wyrażeń, których używała nie znając dobrze polskiego języka, owszem cieszyła się, że mają wesołą rekreację. Po przyjeździe do Domu Centralnego, mimo steranego zdrowia, starała się być użyteczną, sprzątała, usługiwała Siostrom chorym, pomagała w pracowni, a nigdy nie opuściła wspólnej pracy w pralni. Oddawna chora na żołądek, miewała od czasu do czasu wybuchy krwi, lecz podleczywszy się pracowała dalej. Dnia 7 listopada dostała silniejszego niż kiedykolwiek krwotoku, myślała, że to przejdzie i dziwiła się, że ją chcą zanieść na infirmerię. Ale krwotoki się ponowiły i chora osłabła. Zaopatrzona św. Sakramentami troszczyła się jeszcze, że Siostry mają z nią tyle kłopotu. Dnia 9 listopada raniutko odeszła do Dobrego Boga.

18. XI **S. Katarzyna Kufel,** wieku lat 70, pow. 47. Droga S. Kufel odeszła do Boga po długim męczeństwie. Po wzięciu św. Sukni przez lat przeszło 30 gorliwie i sumiennie pracowała w kuchni. Cicha, zgodna, uczynna, pilną też była w odprawianiu ćwiczeń duchownych. Mieszkając we Lwowie, w Zakładzie Zborowskich. W roku 1942 przyjechała do

Krakowa zupełnie zamroczona. W infirmerii Domu Centralnego dała się kierować jak dziecko dobrej towarzyszce, która się nią z miłością opiekowała. W ostatnich tygodniach straciła apetyt, nic nie chciała przyjmować, tylko jęczała cicho i wzywała Imienia Jezus. Gdy ją miano zaopatrzyć św. Sakramentami, S. Infirmerka zapytała ją, czy kocha Pana Jezusa, na co S. Katarzyna odpowiedziała serdecznie: „A któżby Go nie kochał?" Zakończyła życie wśród modlitw Sióstr dokoła niej zebranych.

3. XII **S. Weronika Posadzy,** wieku lat 68, pow. 48. Życie tej Drogiej Siostry naznaczone było krzyżem przewlekłej choroby. Jako młoda Siostra z poświęceniem pracowała przy dzieciach w Czortkowie, potem w Krakowie i w Budzanowie, gdzie dużo przeżyła w czasie pierwszej wojny światowej, które to przejścia fatalnie odbiły się na jej zdrowiu. Następnie pracowała przy chorych w Nowym Sączu. Cicha, uległa, bardzo pobożna i delikatnego sumienia, była przy tym usłużna i pracowita. Już w młodym wieku bóle żołądka zaczęły jej dokuczać i utrudniały pracę. Z latami choroba postępowała tak, że wreszcie musiała zrezygnować z dotychczasowego urzędu, czekał ją inny: kilkanaście lat cierpienia na infirmerii. Wysłana z Nowego Sącza do Zebrzydowic na leczenia, już nie wróciła do swego zajęcia, lecz na infirmerię Domu Centralnego. Rozwinęła się gruźlica jelit, na którą nie było ratunku. Niekiedy lepiej się czując starała się być użyteczna, przeważnie jednak leżała, a nieznośne bóle trzymały ją jak na krzyżu. Wdzięczna za odbierane usługi, odpłacała się gorącą modlitwą. Cierpienia swoje ofiarowywała na intencję ukochanego Zgromadzenia i za Przełożonych, do których odnosiła się ze czcią i dziecięcym przywiązaniem i serdecznie się za nich modliła. Gdy nadszedł kres jej życia, spokojnie odeszła do Boga w pierwszą sobotę grudnia.

W Prowincji Chełmińskiej:

7. II **S. Julianna Malepsza,** wieku lat 58, pow. 35. Była to dusza o dziecięcej prostocie. Umiejętnie prowadziła ochronę ciesząc się wielką miłością dzieci i uznaniem rodziców. Okupację spędziła w Prow. Warszawskiej w Białej Podlaskiej, skąd bardzo miłe wyniosła wspomnienia. Zmarła w Bydgoszczy w Szpitalu Miejskim, po ciężkiej operacji.

25. III **S. Melania Wohlgemuth,** wieku lat 80, pow. 60. Odznaczała się całe życie wielką miłością Zgromadzenia i pracowitością. Długie lata była S. Służebną w Klinice ocznej w Poznaniu, w szpitalu w Chełmnie i w Poniecu. Ostatnie lata swego życia spędziła w Domu Centralnym, zajęta w westiarni, a potem jako chora na infirmerii. Utrata wzroku początkowo bardzo ją przygnębiała, ale później pogodziła się z tą wolą Bożą i pogodnie znosiła swój krzyżyk. Ostatnie dwa lata przeleżała,

całymi dniami przesuwając pobożnie paciorki różańca, z którym się nie rozłączała. Mile i wdzięcznie przyjmowała odwiedzające ją Siostry. Boski Oblubieniec powołał ją w sam dzień Renowacji na wieczne gody do nieba.

29. III **S. Rozalia Chybichów,** wieku lat 71, pow. 49. Wychowana u Sióstr naszych w Zdunach, jako panienka ukończyła seminarium ochroniarskie i zaraz po wzięciu św. sukienki umieszczona została w ochronie. Umiejętnie i z zamiłowaniem oddawała się tej pracy. Kochała dzieci, a mając usposobienie żywe i wesołe, umiała sobie pozyskać ich miłość. Była dobrą wychowawczynią, mającą zrozumienie duszy dziecka. Kochała Zgromadzenie i pragnęła pozyskać mu dobre i pożyteczne członki, toteż kilka z panienek pomagających jej w ochronie, przygotowała i skierowała do naszego Zgromadzenia. W późniejszych latach odwiedzała Ubogich, najpierw w Poznaniu, pod doświadczonym kierunkiem znanej całemu społeczeństwu S. Barbary, która przez pół wieku poświęcała się Ubogim miasta Poznania — a potem w Chełmnie. Mianowana Siostrą Służebną w Uzdrowisku dla dzieci w Inowrocławiu, przetrwała tam aż do roku 1939. Czas okupacji spędziła w Domu Centralnym spiesząc ochotnie z pomocą do wszystkich prac wspólnych. Oddawała się też katechizacji, przygotowując dzieci zaniedbane do I-szej Komunii św. — i konwertytów. W roku 1945 objęła kierownictwo Domu Dziecka w Poznaniu na Głównie. Umiała dostosować się do trudnych warunków materialnych tego zakładu, który wedle sił i możności odnowiła i urządziła. Dla Sióstr i dzieci była dobrą matką. Cechował ją zawsze głęboki duch wiary względem Przełożonych, żywa, pełna prostoty pobożność, prawość i zamiłowanie ubóstwa. Dużo cierpiała w ostatnich miesiącach z powodu choroby raka, — z wdzięcznością przyjmowała starania Sióstr ją pielęgnujących i dobrze przygotowana poszła po nagrodę do Pana.

22. X **S. Józefa Lorenc,** wieku lat 54, pow. 26. Cicha pracownica Boża, nie oszczędzała się nigdy i do ostatka, mimo nurtującej ją choroby raka, spełniała swe obowiązki. Umierała pełna wdzięczności dla Boga i Zgromadzenia za łaskę świętego Powołania.

12. XI **S. Teodozja Ziętak,** wieku lat 73, pow. 53. Najstarsza z trzech Sióstr, które poświęciły się Bogu w naszym Zgromadzeniu, a z których jedna wyjechała na misję do Brazylii Bardzo pobożna i wierna Regule św, miała dużo miłości i uprzejmości dla wszystkich. Do ostatka starała się być pożyteczną, oddając małe usługi chorym Siostrom, czytając głośno w refektarzu i na 2-giej. Po okupacji wróciła do Zdun, w którym to domu spędziła większą część swego życia w Zgromadzeniu i stamtąd powołał ją Pan Bóg po wieczną nagrodę.

Rozkład rekolekcji na rok 1950:

W Prowincji Warszawskiej:

5 marca	23 lipca
16 kwietnia SS. Służebnych	20 sierpnia
14 maja	24 września
18 czerwca	5 listopada

W Prowincji Krakowskiej:

26 lutego	30 sierpnia
23 kwietnia	17 września SS. Służebnych
18 maja	15 października
2 lipca	5 listopada